

Amélie Nothomb

Kosmetyka wroga

Przełożyła Joanna Polachowska

Jeszcze tylko kosmetyka. Mężczyzna otwartą dłonią przygładził włosy. Reguły gry wymagały, by na spotkaniu ze swoją ofiarą prezentował się jak należy.

Jérôme August był już i tak zdenerwowany, kiedy głos stewardesy obwieścił, iż z przyczyn technicznych odlot samolotu opóźni się o czas bliżej nieokreślony.

Tylko tego brakowało, pomyślał.

Nienawidził lotnisk i perspektywa utkwienia na nie wiadomo ile w tej poczekalni doprowadzała go do rozpacz.

Wyjął z torby książkę i ze złością zabrał się do czytania.

– Dzień dobry – usłyszał czyjś ceremonialny głos.

Ledwo uniósł głowę, z odruchową uprzejmością odpowiadając: „dzień dobry”.

Mężczyzna usiadł obok.

– Irytujące są te spóźnienia samolotów, nieprawdaż?

– Mmh – mruknął.

– Gdyby choć było wiadomo, jak długo przyjdzie czekać, można by sobie jakoś zorganizować ten czas.

Jérôme August przytaknął skinieniem głowy.

– Dobra książka? – spytał nieznajomy. No nie, pomyślał Jérôme, w dodatku będzie mi się naprzykrzał jakiś nudziarz.

– Hmm – burknął z miną mówiącą: „Spadaj, człowieku!”.

– Szczęściarz z pana. Ja tam nie potrafię czytać w miejscu publicznym.

Więc przeszkadza tym, którzy potrafią, westchnął w duchu August.

– Nienawidzę lotnisk – ciągnął tamten. (Ja też, i to coraz bardziej, pomyślał Jérôme). – Naiwni wyobrażają sobie, że na lotnisku spotyka się podróżnych. Cóż za romantyczny błąd! Wie pan, jakiego rodzaju ludzi się tu spotyka?

– Natrętów? – zgrzytnął zębami Jérôme, nadal udając, że czyta.

– Nie – odrzekł tamten, zupełnie nie biorąc tego do siebie. – Podróżujących służbowo urzędasów. A podróż służbowa jest do tego stopnia zaprzeczeniem podróży, że w ogóle nie powinno się jej nazywać podróżą. Należałoby ją określać raczej mianem „delegacji handlowej”. Nie wydaje się panu, że byłoby to właściwsze?

– Ja podróżuję służbowo – oświadczył dobitnie August, sądząc, że nieznajomy zrozumie swoją gafę.

– Nie musi pan mówić, to od razu widać.

I w dodatku cham! – fuknął w duchu Jérôme.

Ale ponieważ tamten pogwałcił zasady uprzejmości, uznał, że i on może ją sobie darować.

– Proszę pana, czy nie dociera do pana, że nie mam ochoty z panem rozmawiać?

– A to czemu? – spytał chłodno nieznajomy.

– Ponieważ czytam.

– Wcale nie.

– Słucham?

– Nie czyta pan. Być może wydaje się panu, że pan czyta. Ale nie na tym polega lektura.

– Proszę pana, nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać żadnych głębokich uwag na temat lektury. Pan mnie po prostu denerwuje. Nawet gdybym nie czytał, i tak nie chciałbym z panem rozmawiać.

– Od razu widać, kiedy ktoś czyta. Człowiek, który czyta – naprawdę czyta – jest nieobecny duchem. A pan był obecny.

– Gdyby pan wiedział, jak bardzo tego żałuję! Zwłaszcza od chwili kiedy pan się zjawił.

– Fakt, życie pełne jest różnych drobnych przykrości, czyniących je niedorzecznym. Takie właśnie błahe przeciwności losu w o wiele większym stopniu niż sprawy metafizyczne stanowią o absurdzie istnienia.

– Tę swoją filozofię dla ubogich może pan sobie...

– Niechże się pan nie zachowuje niegrzecznie.

– To pan się tak zachowuje, panie...

– Texel. Textor Texel.

– Słucham?

– Przyzna pan, że łatwiej rozmawiać z kimś, kto się przedstawił.

– Przecież mówiłem, że nie chcę z panem rozmawiać!

– Czemu jest pan taki agresywny, panie Jérôme August?

– Skąd pan zna moje nazwisko?

– Z etykiety na pańskim bagażu. Jest tam również pański adres.

August westchnął.

– No dobrze, o co panu chodzi?

– O nic. Chcę porozmawiać.

– Nie cierpię ludzi, którzy chcą rozmawiać.

– Żałuję, ale nie może mi pan w tym przeszkodzić; rozmowa nie jest zabroniona.

Napastowany wstał i przesiadł się o pięćdziesiąt metrów dalej. Próżny trud; jego prześladowca ruszył w ślad za nim i usadowił się obok.

Jérôme ponownie wstał i przesiadł się na puste miejsce między dwoma zajętymi, sądząc, że nareszcie będzie miał spokój. To jednak zdawało się zupełnie nie przeszkadzać jego strażnikowi, który stanąwszy przed nim, na nowo ruszył do ataku.

- Ma pan kłopoty w pracy?
- Zamierza pan rozmawiać ze mną przy ludziach?
- A co w tym złego?

Angust znowu wstał i wrócił na poprzednie miejsce; skoro ten natręt musi go upokarzać, lepiej obejść się bez widzów.

- Ma pan kłopoty w pracy? – powtórzył pytanie Texel.
- Niepotrzebnie pan pyta. Bo i tak nie odpowiem.
- Dlaczego?
- Nie mogę panu zakazać mówienia, ponieważ nie jest to zabronione. Ale pan nie może mnie zmusić do odpowiedzi, ponieważ nie jest to obowiązkowe.
- Niemniej właśnie mi pan odpowiedział.
- By od tej chwili tym bardziej zamilknąć.
- W takim razie ja opowiem panu o sobie.
- Należało się tego spodziewać.
- Jak już mówiłem, nazywam się Texel. Textor Texel.
- Przykro mi.
- Uważa pan to nazwisko za dziwaczne?
- Uważam spotkanie z panem za niezmiernie przykre.
- Jednakże moje nazwisko nie jest takie znów dziwaczne. Texel to nazwisko rodowe równie dobre jak inne, świadczące o moim holenderskim pochodzeniu. Texel – to brzmi ładnie. Co pan o tym sądzi?
- Nic.
- Oczywiście z Textorem jest już pewien problem. A przecież to imię o szlachetnym rodowodzie. Czy pan wie, że było to jedno z wielu imion Goethego?
- Biedny człowiek.
- Wcale nie; Textor to całkiem niezłe imię.
- Jakie to przykre mieć z panem cokolwiek wspólnego, choćby tylko imię.
- Uważa się, że imię Textor jest brzydkie, lecz gdy się nad tym zastanowić, nie różni się ono aż tak bardzo od słowa „tekst”, któremu trudno cokolwiek zarzucić. Jak pan sądzi, jaka

może być etymologia tego imienia?

– Kara? Pokuta?

– O, czyżby miał pan coś na sumieniu? – spytał nieznajomy z osobliwym uśmiechem.

– Bynajmniej. Sprawiedliwość nie istnieje; ofiarami padają zawsze niewinni.

– Tak czy inaczej pańska interpretacja jest wydumana. Imię Textor pochodzi od „tekstu”.

– Gdyby pan wiedział, jak mało mnie to interesuje.

– A słowo „tekst” wywodzi się od łacińskiego czasownika *texere*, co znaczy „tkać”. Gdyż tekst to przede wszystkim tkanie słów. Ciekawe, prawda?

– Czyli że pana imię znaczy „tkacz”?

– Ja upatrywałbym w nim raczej tego drugiego, szlachetniejszego znaczenia: „redaktor”, czyli „ten, który tka tekst”. Szkoda, że z takim imieniem nie zostałem pisarzem.

– W rzeczy samej, szkoda. Zamazywałby pan papier, zamiast dręczyć swoim głędzeniem nieznajomych.

– Zatem moje imię jest piękne. Problem powstaje dopiero wtedy, gdy zestawia się je z moim nazwiskiem; trzeba przyznać, że Textor Texel brzmi nie najlepiej.

– Pasuje do pana jak ulał.

– Textor Texel – ciągnął mężczyzna, akcentując trudności z wymówieniem tych wszystkich „x” i „t”. – Zastanawiam się, co też strzeliło do głowy moim rodzicom, żeby mnie tak nazwać.

– Trzeba ich było o to zapytać.

– Moi rodzice zmarli, gdy miałem cztery lata, zostawiając mi w spadku tę zagadkową tożsamość niczym przesłanie, którego sens powinienem sam rozgryźć.

– Niech go pan rozgryza beze mnie.

– Textor Texel... Z czasem, przyzwyczajwszy się do wymawiania tych skomplikowanych zgłosek, człowiek przestaje zauważać istniejący między nimi dysonans, a zaczyna dostrzegać w tym osobliwym nazwisku niejako piękno: Textor Texel, Textor Texel, Textor...

– Długo jeszcze będzie się pan tym pięknem napawał?

– A zresztą, jak pisał lingwista Gustave Guillaume: „Rzeczy miłe dla ucha to te, które miłe są dla ducha”.

– Czy istnieje jakiś sposób na ludzi pańskiego pokroju? Zamknąć się w toalecie?

– Nic by to nie dało, drogi panie. Znajdujemy się na lotnisku; tutejsze toalety nie są dźwiękoszczelne. Poszedłbym za panem i nadal by mnie pan słyszał, tyle że przez drzwi.

– Dlaczego pan to robi?

– Bo mi się podoba. Zawsze robię to, na co mam ochotę.

– Ja natomiast mam ochotę zdrowo panu przyłożyć.

– No to ma pan pecha, bo to zabronione. Ja osobiście najbardziej lubię szykany dozwolone. Są o tyle zabawniejsze, że ofiar nie chroni przed nimi prawo.

– Nie ma pan w życiu bardziej szczytnych ambicji?

– Nie.

– A ja tak.

– Nieprawda.

– Co pan może o tym wiedzieć?

– Jest pan człowiekiem interesu. Pańskie ambicje sprowadzają się głównie do pieniędzy.

To niewiele.

– Lecz przynajmniej nikomu nie zatruwam życia.

– Z pewnością jest taka osoba, którą pan nęka.

– Nawet gdyby – kimże pan jest, by mi to wytykać?

– Jestem Texel. Textor Texel.

– Tyle już wiemy.

– Jestem Holendrem.

– Holender lotnisk. Ma się takich latających Holendrów, na jakich się zasługuje.

– Latający Holender? To gówniarz. Głupkowany romantyk napastujący same tylko kobiety.

– Podczas gdy pan napastuje mężczyzn.

– Napastuję tylko tych, którzy mnie inspirują. Pan zaś jest niezwykle inspirujący, panie August. Nie wygląda pan na człowieka interesu. Tkwi w panu pewien niezamierzony element uległości. To mnie wzrusza.

– Myli się pan; nie jestem uległy.

– Chciałby pan tak o sobie myśleć. Otoczenie, w jakim pan żyje, nie zdołało jednak uśmiercić w panu młodego człowieka otwartego na świat, ale tak naprawdę trawionego ciekawością. Nie może się pan doczekać, żeby poznać mój sekret.

– Ludziom pańskiego pokroju zawsze wydaje się, że inni są nimi niezwykle zainteresowani.

– Co gorsza, mają rację.

– Więc proszę, niech pan spróbuje mnie zabawić. Zawsze to jakiś sposób na zabicie czasu.

Jérôme zamknął książkę i splótł ręce. Zaczął przyglądać się natrętowi niczym uczestnik konferencji wpatrujący się w prelegenta.

– Nazywam się Texel. Textor Texel.

– To jakiś refren...?

– Jestem Holendrem.

– Sądzi pan, że o tym zapomniałem?

– Niedaleko zajdziemy, jeśli będzie mi pan wciąż przerywał.

– Wcale nie jestem pewny, czy chciałbym z panem zejść daleko.

– A skąd pan może o tym wiedzieć! Zyskuję przy bliższym poznaniu. Wystarczyłoby mi przytoczyć kilka epizodów z mojego życia, żeby pana o tym przekonać. Na przykład kiedy byłem mały, uśmierciłem człowieka.

– Słucham?

– Miałem osiem lat. Do mojej klasy chodził chłopiec o imieniu Franek. Przemięty, grzeczny, śliczny, uśmiechnięty. Nie był prymusem, ale miał dobre oceny, zwłaszcza z gimnastyki, co zawsze stanowiło klucz do popularności wśród dzieci. Wszyscy za nim przepadali.

– Oczywiście, z wyjątkiem pana.

– Nie znosiłem go. Dodam, że sam byłem słabowitym fajtlapą i nie miałem żadnych przyjaciół.

– No proszę! – uśmiechnął się zjadliwie August. – Już wtedy niepopularny!

– Nie dlatego, żebym się nie starał. Za wszelką cenę próbowałem przypodobać się, być miły i zabawny, lecz wszystko na próżno.

– Pod tym względem nic się nie zmieniło.

– To tylko potęgowało moją nienawiść do Francka. W owym czasie wierzyłem jeszcze w Boga. Pewnej niedzieli wieczorem w łóżku zacząłem się modlić. Była to diaboliczna modlitwa; prosiłem w niej Boga, żeby uśmiercił chłopca, którego nienawidziłem. Długo i z całego serca go o to błagałem.

– Domyślam się, co było dalej.

– Następnego dnia w szkole nauczycielka weszła do klasy zapłakana i oznajmiła nam, że zeszłej nocy Franek z niewyjaśnionych przyczyn umarł na serce.

– A pan oczywiście uroił sobie, że to pana wina.

– Bo to była moja wina. Niby dlaczego taki zdrowy chłopiec miałby umrzeć na serce, gdybym nie maczał w tym palców?

– Gdyby to było takie proste, na ziemi ostałoby się niewielu żywych.

– Dzieci w klasie uderzyły w płacz. Posypały się okolicznościowe komunały typu: „Odchodzą zawsze najlepsi” i tak dalej. Ja zaś myślałem: „Oczywiście! Nie zadałbym sobie

takiego trudu z modlitwą, gdyby nie chodziło o pozbycie się najlepszego z nas!”.

– Więc wierzy pan w swoją bezpośrednią łączność z Bogiem? Nie brak panu tupetu.

– Moim pierwszym uczuciem był triumf: udało się. Nareszcie Franek przestanie zatruwać mi życie. Z wolna jednak zaczynało do mnie docierać, że śmierć chłopca wcale nie przysporzyła mi popularności; szczerze mówiąc, w niczym nie zmieniła mojego statusu niekochanego brzydkiego kaczątka. Sądziłem, że kiedy pozbędę się konkurencji, pokażę, co potrafię. Myliłem się. Zapomniano o Francku, lecz mnie nie udało się zająć jego miejsca.

– Nic dziwnego. Trudno powiedzieć, żeby miał pan w sobie wiele charyzmy.

– Powoli zacząłem odczuwać wyrzuty sumienia. Może się to wydać dziwne, ale gdybym zyskał popularność, nie żałowałbym tej zbrodni. Tymczasem wyrzucałem ją sobie, ponieważ byłem przekonany, że zabiłem Francka niepotrzebnie.

– I dlatego od tej pory zaczepia pan obcych ludzi na lotniskach i zadreńcza ich swoją skruchą.

– Chwileczkę, to nie takie proste. Było mi wstyd, ale nie aż tak, żebym miał z tego powodu cierpieć.

– Pewnie zachował pan mimo wszystko dość zdrowego rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że w najmniejszym stopniu nie przyczynił się pan do jego śmierci.

– Otóż myli się pan. Nadal uważałem, że cała wina za tę śmierć spada na mnie. Jednak moje sumienie nie było przygotowane do takiej sytuacji. Dorośli uczą dzieci mówić starszym „dzień dobry” i nie dłużyć w nosie; nie uczą ich jednak, żeby nie zabijały kolegów z klasy. Czułbym może większe wyrzuty sumienia, gdybym zwędził cukierki z wystawy.

– Skoro stracił pan wiarę, jak pan może nadal uważać się za sprawcę śmierci Francka?

– Nie ma rzeczy potężniejszej niż duch ożywiony wiarą. Nieważne, czy Bóg jest, czy go nie ma. Moja modlitwa, przez to, że wierzyłem w jej moc sprawczą, miała w sobie dość siły, by unicestwić życie. Utraciwszy wiarę, utraciłem i tę władzę.

– No to całe szczęście, że już pan nie wierzy.

– Tak. To sprawiło, że moje następne morderstwo nie było już takie proste.

– O, więc jest ciąg dalszy?

– Tylko pierwsza śmierć się liczy. Poczucie winy z powodu popełnionej zbrodni ma to do siebie, że się nie kumuluje. Nie uważa się, żeby zabicie stu ludzi było czymś gorszym niż zabicie jednego człowieka. Po zabiciu jednego człowieka nagle przestają istnieć powody, dla których należałoby sobie odmówić zabicia stu.

– Fakt. Po co sobie odmawiać takich drobnych przyjemności życia?

– Widzę, że nie traktuje mnie pan serio. Stroi pan sobie żarty.

– Sądząc z tego, co nazywa pan morderstwem, nie wydaje mi się, żebym miał do czynienia z wielkim zbrodniarzem.

– To prawda, nie jestem wielkim zbrodniarzem. Jestem zbrodniarzem małym i przyziemnym.

– Podobają mi się takie przebłyśki trzeźwości.

– Zabiłem tylko dwie osoby.

– To rzeczywiście niewiele. Powinien pan być trochę ambitniejszy.

– Ja też tak uważam. Jestem stworzony do wielkich zadań. Jednak demon winy uniemożliwił mi osiągnięcie wielkości, o jakiej marzyłem.

– Demon winy? O ile pamiętam, poczuł pan zaledwie drobną skruchę z nieistniejącego powodu.

– W przypadku zamordowania Francka – tak. Poczucie prawdziwej winy dopadło mnie dopiero później.

– Po drugim morderstwie? Jak pan je popełnił? Za pomocą czarów?

– Niepotrzebnie pan ze mnie szydzi. Nie, stałem się winny z chwilą, gdy utraciłem wiarę. Ale przepraszam... nie wiem nawet, czy rozmawiam z człowiekiem wierzącym.

– Nie. W mojej rodzinie nikt nie wierzył.

– Śmieszni są ludzie, którzy traktują wiarę, jakby chodziło o hemofilię. Moi rodzice w nic nie wierzyli, co nie zmienia faktu, że ja byłem wierzący.

– I skończył pan jak oni; przestał pan wierzyć.

– Tak, ale zdecydował o tym przypadek; przypadek mentalny, który równie dobrze mógł się nie zdarzyć, a który zdeterminował całe moje życie.

– Mówi pan jak ktoś, kto dostał po głowie.

– Bo w pewnym sensie tak było. Miałem dwanaście i pół roku. Mieszkałem u dziadków. W domu były trzy koty. Do mnie należało przygotowywanie im jedzenia. W tym celu trzeba było otworzyć konserwę rybną i wymieszać jej zawartość z ryżem. Czynność ta napelniała mnie głębokim obrzydzeniem. Zapach i widok tej ryby z puszki wywoływały u mnie odruch wymiotny. Co więcej, nie wystarczyło samo rozgniecenie jej widelcem; trzeba ją było jeszcze równomiernie wymieszać z ryżem, inaczej koty by jej nie tknęły. Musiałem więc robić to wszystko rękami. Na próżno zamykałem oczy, zanurzając palce w brei z ryżu i rybich szczątków. Mieszając to coś, o konsystencji napawającej mnie odrazą, zawsze czułem się bliski zemdlenia.

– Jak dotąd jestem w stanie zrozumieć.

– Wykonywałem tę czynność przez długie lata, aż w końcu zdarzyło się coś

nieprawdopodobnego. Miałem w owym czasie dwanaście i pół roku i pewnego dnia, otworzywszy oczy, spojrzałem na papkę, którą przygotowywałem. Zrobiło mi się niedobrze, lecz udało mi się nie zwymiotować. I nagle, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wepchnąłem do ust garść tej oślizłej mieszaniny i zjadłem ją.

– Brrr...

– Otóż nie! Wcale nie. Wydało mi się, że nigdy dotąd nie jadłem nic równie smacznego. Mnie, dziecku wątłemu i okropnemu niejadkowi, którego trzeba było siłą zmuszać do jedzenia, ciekła ślinka na widok karmy dla zwierząt. Przerażony tym, co robię, zacząłem opychać się rybną breją, pochłaniać ją garściami. Trzy koty z konsternacją obserwowały, jak ich strawa znika w moim brzuchu. Byłem przerażony jeszcze bardziej niż one; odkrywałem, że niczym się od siebie nie różnimy. Wyraźnie czułem, że to nie ja chcę jeść to obrzydlistwo, tylko zmusza mnie do tego jakaś siła wyższa. Nie zostawiłem na dnie miski nawet kawałka rybiej ości. Tego dnia koty musiały się obejść bez kolacji. Były jedynymi świadkami mego upadku.

– To historia raczej zabawna.

– To historia straszna. Spowodowała, że utraciłem wiarę.

– Dziwne, aleja, człowiek niewierzący, nie bardzo rozumiem, dlaczego to, że ktoś lubi karmę dla kotów, ma stanowić wystarczający powód, by zwątpić w istnienie Boga.

– Przecież ja nienawidziłem tej karmy dla kotów! To jakiś wewnętrzny wróg nakazywał mi się nią zajadać. I ten sam wróg, dotąd nieujawniony, okazał się tysiącokrotnie potężniejszy od Boga. Do tego stopnia, że straciłem wiarę nawet nie tyle w jego istnienie, ile w jego potęgę.

– A więc jednak nadal pan wierzy, że Bóg istnieje?

– Wierzę, bo nieustannie mu ubliżam.

– Dlaczego mu pan ubliża?

– Żeby zmusić go do reakcji. Ale to nie skutkuje. Znieważam go, on jednak pozostaje bierny, bez cienia godności. Nawet ludzie nie są tacy bezwolni. Bóg to niedojda. Widzi pan? Znów go znieważylem, a on nic.

– A co pana zdaniem powinien zrobić? Razić pana gromem?

– Pomylił go pan z Zeusem.

– Dobrze, więc chciałby pan, żeby Bóg zesłał deszcz szarańczy czy żeby zalały pana fale Morza Czerwonego?

– Może pan sobie szydzić, proszę bardzo. Ale to okrutne przeżycie, kiedy się odkryje nicłość Boga, a z drugiej strony potęgę wewnętrznego wroga. Człowiek sądził, że nad jego głową czuwa życzliwy tyran, a tymczasem uzmysławia sobie, że rządzi nim nieżyczliwy tyran

tkwiący w jego własnych trzewiach.

– Przecież to nic strasznego zjeść pokarm dla kotów.

– A próbował pan?

– Nie.

– Więc co pan może o tym wiedzieć? To straszna rzecz opychać się kocim żarciem. Przede wszystkim jest to obrzydliwe. Poza tym później człowiek sam czuje do siebie wstręt. Patrzy w lustro i myśli: „Ten gnojek opróżnił kocią miskę”. Wie, że znalazł się we władaniu jakiejś mrocznej, nienawistnej siły, która siedzi w jego brzuchu i pęka ze śmiechu.

– Diabła?

– Może go pan i tak nazwać.

– To nie mój problem. Nie wierzę w Boga, więc nie wierzę też i w diabła.

– Ja wierzę we wroga. Dowody na istnienie Boga są niepewne i okropnie wysublimowane, dowody na jego władzę jeszcze bardziej lichy. Dowodów na istnienie wroga wewnętrznego jest mnóstwo, a świadectwa jego władzy są wręcz druzgocące. Wierzę we wroga, ponieważ każdego dnia i każdej nocy napotykam go na swojej drodze. Wrogiem jest ten, kto od środka niszczy wszystko, co posiada jakąkolwiek wartość. Ten, kto ukazuje człowiekowi rozkład ukryty w każdym przejawie rzeczywistości. Ten, kto ujawnia mu nikczemność jego i jego przyjaciół. Ten, kto w piękny dzionek znajdzie zawsze znakomity powód, by go dręczyć. Ten, kto budzi w nim obrzydzenie do siebie samego. Ktoś, kto, gdy człowiek ujrzy w przelocie niebiańską twarz nieznajomej, przypomni mu o śmierci, jaką skrywa w sobie takie piękno.

– Może również i ten, kto nieproszony podchodzi i zakłóca spokój spotkanemu na lotnisku nieznajomemu, uniemożliwiając mu lekturę swoim ponurym gadulstwem.

– Tak. Dla pana tym jest wróg. Być może istnieje on tylko w panu. Wydaje się panu, że siedzi obok, tymczasem on jest w panu, w pańskiej głowie i brzuchu, i przeszkadza panu w czytaniu.

– Ja nie mam żadnego wewnętrznego wroga. Mam natomiast w chwili obecnej wroga jak najbardziej rzeczywistego, pana, wroga zewnętrznego.

– Skoro pan tak woli. Ja natomiast wiem, że on mieszka we mnie i sprawia, że czuję się winny.

– Winny? Czego?

– Tego, że pozwoliłem mu przejąć nad sobą władzę.

– Zawraca mi pan głowę tylko dlatego, że trzydzieści lat temu opychał się pan kocim żarciem? Ale z pana zaraza. Istnieją specjaliści lekarze dla ludzi takich jak pan.

– Nie przyszedłem, żeby mnie pan leczył. Zjawiłem się, żeby sprawić, by pan się rozchorował.

– I to pana bawi?

– Zachwyca.

– Ze też musiało paść na mnie.

– Miał pan pecha, mój drogi.

– Cieszę się, że przynajmniej co do tego jesteśmy zgodni.

– Mimo to jestem pewny, że nie będzie pan tego żałował. Niektóre nieszczęścia okazują się zbawienne.

– Zadziwiające, że natręt zawsze znajdzie sobie jakieś usprawiedliwienie. Lu Xun nazywa to wywodem komara: ukąszenie przez komara samo w sobie jest już przykre, ale człowiek musi jeszcze wysłuchać bzyczenia insekta, który z całą pewnością mówi wtedy: „Owszem, gryzę cię, ale dla twojego dobra”. Skoro już gryzie, niechby to robił przynajmniej w milczeniu!

– Analogia z komarem jest trafna. Pozostawię panu po sobie coś w rodzaju świądu.

– Dowiaduję się więc, że mnie pan zostawi; zawsze to jakieś słowo otuchy. A czy mógłbym się dowiedzieć, kiedy zamierza mnie pan opuścić?

– Kiedy wypełnię moją misję przy panu.

– O, w dodatku ma pan misję do spełnienia! Powinno istnieć specjalne prawo chroniące człowieka przed mesjaszami. Nie potrzebuję pańskich nauk, drogi panie.

– W rzeczy samej, nie. Potrzebuje pan tylko tego, żeby się przeze mnie rozchorować.

– Od kiedy to człowiekowi, który czuje się dobrze, potrzebna jest choroba?

– Po pierwsze, wcale nie czuje się pan dobrze. Doskonale pan wie, że to i owo u pana szwankuje. Dlatego potrzebna jest panu choroba. Pascal napisał tekst wzniośle zatytułowany: *Modlitwa o dobry użytek chorób*. Gdyż choroby rzeczywiście można dobrze wykorzystać. Ale do tego trzeba być chorym. Jestem tu po to, by oddać panu tę przysługę.

– Zbytek łaski. Niech pan ten dar zachowa dla siebie; jestem niewdzięcznikiem.

– Beze mnie nie ma pan żadnych szans wyleczyć się ze swoich bolączek, a to z powodu owego niezrównanego aksjomatu, który mówi, że bez choroby nie ma ozdrowienia.

– Ale z czego, pana zdaniem, powinienem się wyleczyć?

– Czemu pan sam siebie okłamuje? Czuje się pan fatalnie, panie Jérôme Angust.

– Niby skąd pan to może wiedzieć?

– Wiem o tylu rzeczach.

– Czyżby był pan agentem tajnych służb?

– Moja służba jest zbyt tajna jak na tajne służby.

– Więc kim pan jest?

– Nazywam się Texel. Textor Texel.

– No nie, tylko nie to!

– Jestem Holendrem.

Jérôme August zakrył uszy rękami. Teraz dochodził do niego jedynie szmer z wnętrza własnej czaszki; przypominało to nieokreślone, dalekie dudnienie, jakie słyszy się na stacji metra, kiedy nie przejeżdża żaden pociąg. Nie było to nieprzyjemne. Przez cały ten czas wargi intruza nie przestawały się poruszać. To jakiś wariat, pomyślała jego ofiara. Mówi, choć wie, że nie mogę go usłyszeć. Istny słowotok. I czemu uśmiecha się tak, jakby uważał się za zwycięzcę? To ja jestem zwycięzcą, bo go już nie słyszę. To ja powinienem się uśmiechać. Tymczasem ja się nie uśmiecham, a on tak. Dlaczego?

Mijały minuty. Niebawem August zrozumiał, czemu Texel się uśmiecha; zaczęły go boleć ręce, najpierw trochę, potem coraz bardziej, wreszcie nie do wytrzymania. Nigdy jeszcze nie zatykał uszu na tyle długo, by poznać ten ból. Natomiast oprawca z pewnością był świadom tego narastającego skurczu u swoich ofiar. Nie mnie pierwszemu tak truje godzinami. Nie ja pierwszy zatykam rękami uszy pod jego rozbawionym spojrzeniem. Uśmiecha się, bo do tego przywykł; wie, że długo nie wytrzymam. Kanalia! Świat jest pełen psychopatów!

Po kilku minutach poczuł, że jeszcze chwila, a odpadną mu ręce. Zniechęcony, z grymasem ulgi opuścił ramiona.

– No właśnie – powiedział tylko Holender.

– Pana ofiary zawsze tak robią, prawda?

– I bez tego wiedziałem o tym, nawet gdyby pan był pierwszy. Nie słyszał pan o męce krzyża? Jak pan myśli, dlaczego ukrzyżowany cierpi i umiera? Z powodu niewinnych gwoździ w dłoniach i stopach? Nie, z powodu uniesionych ramion. W odróżnieniu od niektórych ssaków, na przykład leniwca, człowiek nie jest stworzony do pozostawiania przez dłuższy czas w takiej pozycji; zmuszony trzymać zbyt długo ramiona w górze, umrze. No, może trochę przesadziłem; zwisając zbyt długo na rękach, można się udusić. Więc pan nie umrze. Niemniej w końcu poczuł pan dyskomfort. Sam pan teraz widzi, że mi się nie wymknie.

Nic nie jest pozostawione na łasce przypadku. Jak pan sądzi, dlaczego atakuję pański słuch? Nie tylko dlatego, że jest to dozwolone; przede wszystkim dlatego, że słuch jest tym ze zmysłów, który posiada najmniej możliwości obrony. Oko chroni powieka. Obroną przed

smrodem jest zatkanie nosa, gest, nawet na dłuższą metę, bezbolesny. Obroną przed smakiem jest głodówka i wstrzemięźliwość, co nie jest zabronione. Z kolei przed dotykiem broni prawo; jeśli zostanie pan dotknięty wbrew swojej woli, może pan wezwać policję. Istota ludzka ma tylko jeden słaby punkt: ucho.

– Nieprawda. Istnieją przecież stopery do uszu.

– Tak, istnieją stopery; najpiękniejszy wynalazek człowieka. Ale nie ma ich pan w swoim bagażu, prawda?

– Na lotnisku jest apteka. Już po nie biegnę.

– Biedny mój przyjacielu, zanim do pana podszedłem, wykupiłem cały zapas stoperów, jakie w niej mieli. Przecież mówiłem, że nic nie pozostawiłem na łasce przypadku! Chce pan wiedzieć, co mówiłem, kiedy zatykał pan sobie uszy?

– Nie.

– Nieważne, i tak panu powiem. Mówiłem, że człowiek jest twierdzą, a jego zmysły są bramami do niej. Słuch jest bramą najsłabiej strzeżoną; stąd pana porażka.

– Zatem porażka, ale bez zwycięstwa przeciwnika. Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, co pan na tym zyskuje.

– Zyskuję. Co panu tak spieszno. Mamy mnóstwo czasu. Spóźnienia samolotów potrafią przeciągać się w nieskończoność. Gdyby nie ja, nadal udawałby pan, że czyta książkę. A mam panu tyle do zaoferowania.

– Pseudomorderstwo kolegi z klasy, karma dla kotów... Myśli pan, że podobne bzdury mogą kogokolwiek zainteresować?

– Opowiadanie najlepiej zacząć od początku, prawda? Tak więc skutek niestrawności po zjedzeniu pokarmu dla kotów w wieku lat dwunastu i pół utraciłem wiarę i zyskałem wewnętrznego wroga: siebie samego, a konkretnie tego nieznanego przeciwnika, którego wszyscy gościmy w swoich trzewiach. To całkowicie odmieniło mój świat. Wcześniej byłem wątłym, bladym sierotą wiodącym spokojne życie u boku dziadków. Odtąd żyłem w ciągłej udręce, stałem się niespokojny, zacząłem objadać się jak szalony.

– Kocią karmą?

– Nie tylko. Również jedzeniem dziadków. Gdy tylko jakaś potrawa budziła we mnie wstręt, natychmiast rzucałem się na nią i pożerałem ją.

– W Holandii nie brak obrzydliwego jedzenia.

– Fakt. Więc się objadałem.

– Nie jest pan wcale gruby.

– Moja nerwowość powoduje, że wszystko spalam. Od wczesnej młodości się nie

zmieniłem; nadal dźwigam brzemień tego poczucia winy, które wówczas w sobie odkryłem.

– Skąd się ono bierze?

– Myśli pan, że ludzie obarczeni poczuciem winy potrzebują jakiegoś ważkiego powodu? Mój wróg wewnętrzny zawdzięczał swoje narodziny karmie dla kotów, lecz równie dobry byłby każdy inny pretekst. Człowiek, którego przeznaczeniem jest czuć się winnym, wcale niekoniecznie musi mieć sobie coś konkretnego do zarzucenia. Poczucie winy i tak, w ten czy w inny sposób, w końcu go dopadnie.

– To kwestia predestynacji. Jansenizm; jeszcze jeden holenderski wynalazek.

– Tak. Podobnie jak masło orzechowe oraz inne świństwa.

– Lubię masło orzechowe.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Jansenizm też lubię. Doktryna tak niesprawiedliwa siłą rzeczy musiała mi się spodobać. Nareszcie jakaś teoria zdolna do szczerego okrucieństwa, jak miłość.

– I pomyśleć, że pastwi się teraz nade mną na lotnisku jakiś jansenista.

– Kto wie? Może to też sprawa przeznaczenia? Całkiem możliwe, że jedynym celem pańskiego dotychczasowego życia było... spotkanie któregoś dnia mnie.

– Zapewniam, że nie.

– Nie panu o tym decydować.

– Bywały w moim życiu istotniejsze sprawy.

– Na przykład?

– Nie zamierzam panu o nich opowiadać.

– Błąd. Nauczę pana pewnej ważnej reguły, panie Jérôme Angust. Istnieje tylko jeden prawnie dozwolony sposób, by mnie uciszyć: mówić samemu. Niech pan o tym pamięta. To mogłoby pana uratować.

– Niby przed czym?

– Zobaczy pan. Proszę mi opowiedzieć o swojej żonie.

– Skąd pan wie, że jestem żonaty? Przecież nie noszę obrączki.

– Właśnie się tego od pana dowiedziałem. Proszę mi więc opowiedzieć o swojej żonie.

– Ani mi się śni.

– A to czemu?

– Bo nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać o niej z panem.

– Z czego wnioskuję, że już jej pan nie kocha.

– Kocham!

– Nie. Ludzie, którzy kochają, potrafią bez końca rozprawiać o swojej miłości.

– Co pan może o tym wiedzieć? Pan, nie mam co do tego wątpliwości, nikogo nie kocha.

; – Kocham.

– Więc proszę, niech mi pan opowie o obiekcie swojej miłości.

– Kocham kobietę niezwykłą.

– W takim razie co pan tutaj robi? To niewybaczalne, że nie jest pan przy niej. Traci pan czas na naprzykrzanie się obcym ludziom, zamiast być z nią?

– Ona mnie nie kocha.

– Więc traci pan czas na naprzykrzanie się obcym ludziom, zamiast próbować ją zdobyć?

– Próbowałem.

– Niech pan nie daje za wygraną!

– To wszystko na nic.

– Tchórz!

– Wiem dobrze, że nic to nie da.

– I pan śmie twierdzić, że ją kocha?

– Ona nie żyje.

– Och!

Jérôme zmienił się na twarzy. Umilkł.

– Kiedy ją poznałem, żyła. Mówię to, ponieważ niektórzy mężczyźni potrafią kochać tylko nieboszczki. O ileż wygodniej jest kochać kobietę, której nie znało się w codziennym życiu. Lecz ja kochałem ją właśnie dlatego, że była żywa. Żywsza niż inne. Do dziś zresztą pozostaje dla mnie żywsza od innych.

Cisza.

– Niech pan nie robi takiej spłoszonej miny, Jérôme.

– Pewnie. W końcu czy to ważne, że pańska żona nie żyje.

– Nie mówiłem, że była moją żoną.

– Więc tym bardziej nie ma powodu do dramatyzowania.

– Uważa pan, że to śmieszne?

– Sam pan przecież mówił, że bym nie robił spłoszonej miny.

– Trzeba się bardziej wczuwać w niuanse.

– Więc już nic nie mówię.

– Pańska strata. Spotkałem tę kobietę dwadzieścia lat temu. Oboje mieliśmy po dwadzieścia lat. Była pierwszą dziewczyną, która wydała mi się pociągająca. Wcześniej mój kompleks winy całkowicie zaćmiewał mi trzeźwość umysłu. Żyłem bez reszty skoncentrowany na własnej osobie, cierpiąc, analizując swoje postępowanie, opychając się

różnymi świństwami, śledząc, jak to wpływa na moją anatomię; coraz mniej przejmowałem się światem zewnętrznym. Dziadkowie zmarli, zostawiając mi trochę grosza; za mało, żebym stał się bogaty, dość, bym mógł fatalnie odżywiać się przez długie lata. Coraz bardziej odsuwałem się od ludzi. Całymi dniami czytałem Pascala i oddawałem się poszukiwaniom różnych obrzydliwych wiktuałów.

– A koty?

– Zeszły bezpotomnie. Przez kilka miesięcy wyjadałem konserwy rybne, które zmagazynowali dla nich dziadkowie. Kiedy szafy zostały opróżnione ze swej zawartości, kiedy Holandia do reszty mnie znudziła, przenieśliem się gdzie indziej. Zamieszkałem w Paryżu, nieopodal stacji Port-Royal.

– Czy francuskie pożywienie było dla pana wystarczająco obrzydliwe?

– O, tak. W Paryżu jada się fatalnie. Frykasów dla siebie znalazłem tu pod dostatkiem. Tutaj też spotkałem najpiękniejszą dziewczynę świata.

– Zaczyna to być banalne. Pozwoli pan, że zgadnę: spotkał ją pan w Ogrodzie Luksemburskim.

– Nie. Na cmentarzu.

– Na Pere-Lachaise. Klasyka.

– Nie! Na cmentarzu Montmartre. To, że spotkałem ją pośród nieboszczyków, wydaje mi się znamienne.

– Nie znam tego cmentarza.

– Najpiękniejszy w Paryżu. O wiele rzadziej uczęszczany niż Pere-Lachaise. Jeden z tamtejszych grobów wzrusza mnie szczególnie. Nie pamiętam już, kto jest w nim pochowany. Kamień nagrobny przedstawia młodą dziewczynę spoczywającą twarzą do ziemi. Twarz jej na zawsze pozostanie nieznana. Widać tylko jej półnagę, choć pełną skromności sylwetkę, wdzięczną linię pleców, drobną stopę, delikatny karczek. Szarozielony marmur zawłaszczył ją niczym suplement śmierci.

– Ponure.

– Odwrotnie, urocze. Tym bardziej, że gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, obok grobu stała już wpatrzona w nią żywa istota o podobnej sylwetce. Widząc ją z tyłu, przysięgłbym, że to jedna i ta sama osoba; tak jakby młoda dziewczyna przeczuwała czekającą ją rychłą śmierć i przyszła popatrzeć na własny pomnik na swym przyszłym grobie. Zaczepiłem ją, pytając, czy to ona do niego pozowała. Od razu poczuła do mnie niechęć.

– Wcale jej się nie dziwię.

– A to czemu?

– Bo ja też od razu poczułem do pana niechęć. A poza tym, co za nietaktowne pytanie.

– Dlaczego? Uwieczniona w szarozielonym marmurze dziewczyna była prześliczna.

– Tak, ale ten grób.

– I co z tego? W śmierci nie ma nic nieprzyzwoitego. Co nie zmienia faktu, że dziewczyna żywa uznała moje zachowanie za niewłaściwe i nie raczyła odpowiedzieć. Ja tymczasem wpatrywałem się w jej twarz; do dziś nie mogę się z tego otrząsnąć. Twarze, czy raczej niektóre twarze, są czymś w najwyższym stopniu niepojętym; to połączenie spojrzenia i rysów stające się nagle jedyną rzeczywistością, najbardziej ważką zagadką świata, które wzrok chłonie zachłannie i chciwie, zupełnie jakby wypisane było na nich jakieś boskie posłannictwo. Nie będę jej panu szczegółowo opisywał; powiem tylko, że miała kasztanowe włosy i niebieskie oczy. Czyż jest coś bardziej denerwującego od tych wszystkich obowiązkowych opisów bohaterki powieści, nieoszczędzających czytelnikowi ani jednego szczegółu, tak jakby to mogło cokolwiek zmienić. Właściwie równie dobrze mogła być blondynką o brązowych oczach. Opisywanie piękna takiej twarzy jest równie głupie i daremne, jak próba przekazania za pomocą słów niewymownego piękna sonaty lub kantaty. Choć być może właśnie sonata lub kantata mogłyby opisać jej twarz. Niestety ludzi, którzy stanęli w obliczu podobnej tajemnicy, jest to, iż potem nie są już zdolni zainteresować się czymkolwiek innym.

– Przynajmniej raz pana rozumiem.

– I na tym porozumienie między nami się kończy, gdyż z całą pewnością nie jest pan w stanie pojąć, co czuje człowiek odrzucony przez kobietę swojego życia. Pan przynajmniej ma, jak to się mówi, atrakcyjną powierzchowność. Nie wie pan, co znaczy być bardzo spragnionym, a nie mieć prawa się napić, mimo że woda znajduje się tuż-tuż, cudowna, zbawienna, w zasięgu warg. Choć ma pan za sobą długą wędrówkę przez pustynię, woda nie chce, żeby pan ją wypił z powodu tak nedorzecznego jak ten, że nie jest pan w jej guście. Tak jakby wolno jej było nie chcieć! Cóż za arogancja! Przecież to do pana należy bycie spragnionym, a nie odwrotnie!

– To argument gwałciciela.

– Nawet pan nie przypuszcza, jak trafne są te słowa.

– Co takiego?

– Na początku naszej rozmowy uprzedziłem, że zawsze spełniam swoje zachcianki. Już dwadzieścia lat temu tak było.

– Na cmentarzu?

– Szokuje pana miejsce czy czyn?

– Wszystko.

– Po raz pierwszy w życiu kogoś pożałowałem. Nie zamierzałem przepuścić tej okazji. Wolałbym być oczywiście, żeby to nie był gwałt.

– Gwałt w trybie niedokonanym jest czymś jeszcze gorszym.

– Ma pan rację. Bardzo się cieszę, że ją zgwałciłem.

– Prosiłem, żeby pan zmienił tryb, a nie sens.

– Nie można zmienić trybu, nie zmieniając jednocześnie sensu. A zresztą to prawda; niczego nie żałuję.

– Ma pan kompleks winy z powodu obżerania się kocim pożywieniem, a nie czuje pan żadnych wyrzutów sumienia z powodu zgwałcenia kobiety?

– Żadnych. Gdyż w odróżnieniu od kocięj karmy gwałt był czymś pozytywnym. Na cmentarzu Montmartre znajduje się mnóstwo kaplic pogrzebowych przypominających miniatury gotyckich katedr – z portalem, nawą, transeptem, absydą. Bez problemu mogłyby się w nich zmieścić cztery osoby o przeciętnej tuszy. Nas było dwoje, ja szczupły, ona wiotka jak trzcina. Zaciągnąłem ją siłą do jednego z tych mauzoleów i zasłoniłem jej usta dłonią.

– I tam ją pan zgwałcił?

– Nie. Tam ją ukryłem. Musiało być koło piątej po południu. Wystarczyło mi tylko poczekać na zamknięcie cmentarza. Zawsze zastanawiałem się, co by się stało, gdybym przegapił porę zamykania cmentarza i został uwięziony na nim na całą noc. Teraz już wiem. Tak więc przez ponad godzinę ścisnąłem w objęciach moją przyszłą ofiarę. Wrywała się, lecz nie była zbyt silna. Jej strach sprawiał mi prawdziwą rozkosz.

– Czy naprawdę muszę tego słuchać?

– Nie wymiga się pan od tego, staruszk. Tak samo jak ona. Słyszeliśmy przechodzących obok dozorców cmentarza, którzy ponaglali już tylko spóźnialskich. Wkrótce jedynym odgłosem były oddechy umarłych. Wtedy zdjąłem rękę z ust dziewczyny. Powiedziałem, że może sobie krzyczeć do woli; i tak nikt jej nie usłyszy. Była rozsądna, więc nie wrzeszczała.

– Otóż to. Dziewczyna rozsądna to taka, która grzecznie pozwoli się zgwałcić.

– Nic podobnego! Próbowła mi uciec. A jak szybko biegła! Pędziłem za nią między grobami. Co za cudowne uczucie! W końcu dopadłem ją i przewróciłem na ziemię. Czulem jej pełne wściekłości przerażenie i niezmiernie mnie to podniecało. Był październik, noce zimne. Posiadałem ją na opadłych liściach. Byłem cnotliwy, ona nie. Powietrze było rzeńskie, w tym niesamowitym miejscu moja cudowna ofiara wrywała się. Coś wspaniałego. Co za wspomnienie!

– Tylko czemu ja muszę tego wszystkiego wysłuchiwać?

– O świcie ponownie ukryłem ją w jednej z miniaturowych katedr. Poczekalem, aż dozorca otworzą cmentarz i w alejkach pojawią się ludzie. Wtedy powiedziałem dziewczynie, że wyjdziemy teraz razem, a jeśli tylko spróbuje wzywać pomocy, spuszczę jej takie manto, że popamięta.

– Delikatny z pana facet.

– Trzymając się za ręce, wyszliśmy z cmentarza. Szła jak nieżywa.

– Pieprzony nekrofil.

– Wolnego, przecież darowałem jej życie.

– Jaki wspaniałomyślny!

– Kiedy znaleźliśmy się poza obrębem cmentarza, na rue Rachel, zapytałem ją, jak ma na imię. Napluła mi w twarz. Powiedziałem, że zanadto ją kocham, by ją nazywać plwociną.

– I w dodatku jaki romantyczny!

– Zajrzałem do jej portfela, ale nie miała w nim żadnych dokumentów. Zwróciłem jej uwagę, że poruszanie się bez papierów jest niedozwolone. Zaproponowała, bym oddał ją w ręce policji z powodu tego wykroczenia.

– Nie straciła poczucia humoru.

– Ale ja domyśliłem się, o co jej chodzi.

– Naprawdę? Co za lotność umysłu!

– Coś mi się zdaje, że wyczuwam w pańskich słowach lekką impertynencję.

– Być nie może! Nigdy bym sobie na to nie pozwolił!

– Zapytałem, dokąd ją odprowadzić. Odpowiedziała, że donikąd. Dziwna osoba, co?

– Fakt. Dziwna ofiara, która nie chce sympatyzować ze swoim gwałcicielem.

– Przecież chyba zauważyła, że ją kocham!

– Czego dowiódł pan w taki uroczy sposób.

– Przy pierwszej sposobności rzuciła się pędem do ucieczki. Tym razem nie udało mi się jej złapać. Zniknęła w tłumie i nigdy więcej jej nie ujrzałem.

– Wielka szkoda. Taka piękna i taka obiecująca historia.

– Wariowałem z miłości i ze szczęścia.

– Mogę wiedzieć, z jakiego to powodu czuł się pan tak szczęśliwy?

– Nareszcie przydarzyło mi się coś niezwykłego.

– Niezwykłego? Zwykły gwałt.

– Nie zależy mi na pańskim zdaniu.

– W takim razie na czym?

– Na tym, żeby mnie pan wysłuchał.

- Od tego są psychiatrzy.
- Po co mam iść do psychiatry, skoro lotniska pełne są darmozjadów gotowych mnie słuchać?
- Lepiej tego słuchać, niż zostać głuchym.
- Zacząłem jej szukać. Początkowo całymi dniami przesiadywałem na cmentarzu Montmartre w nadziei, że wróci. Nie wróciła.
- Dziwna ofiara, której tak niespieszno znaleźć się z powrotem na miejscu swojej egzekucji.
- Można by pomyśleć, że niemile je wspomina.
- Pan to mówi poważnie?
- Jak najpoważniej.
- Czyżby w swoim szaleństwie uznał pan, że coś takiego mogło jej się spodobać?
- Gwałt to komplement. Dowodzi, że jest się dla danej osoby zdolnym złamać prawo.
- Prawo. Nie zamykają się panu od tego słowa usta. Sądzi pan, że ta nieszczęśnica myślała o prawie, kiedy ją pan... Pana samego powinno się zgwałcić, dopiero by pan zrozumiał.
- Nie miałbym nic przeciwko temu. Niestety, raczej nie ma na to chętnych.
- Wcale mnie to nie dziwi.
- Czyżbym był aż tak odpychający?
- Aż tak to nie. Nie w tym rzecz.
- Więc w czym?
- Czy pan nie widzi, w jaki sposób zaczepia pan ludzi? Nie potrafi pan inaczej, jak tylko na siłę. Pierwszą dziewczynę, która wzbudziła w panu pożądanie, zgwałcił pan. A kiedy ma pan ochotę z kimś pogadać, dajmy na to ze mną, siłą się pan narzuca. Mnie też pan gwałci, oczywiście w sposób nie tak ohydny, ale zawsze. Nie przyszło panu nigdy do głowy, że można nawiązywać kontakty za przyzwoleniem drugiej strony?
- Nie.
- Hmm.
- Co by mi dało takie przyzwolenie bliźniego?
- Bardzo wiele.
- Konkretnie, proszę.
- Niech pan spróbuje, to się pan przekona.
- Za późno. Mam czterdzieści lat i zarówno w przyjaźni, jak w miłości nigdy się nikomu nie podobałem. Nigdy nie wzbudziłem w nikim nawet poczucia koleżeństwa czy bodaj cienia

sympatii.

– Niech pan postara się być atrakcyjniejszy.

– Niby czemu miałbym się starać? Lubię siebie takim, jaki jestem. Byłem zadowolony, że zgwałciłem; jestem zadowolony, że zmuszam pana do słuchania. Starają się tylko ludzie niezadowoleni ze swego losu.

– I nie obchodzi pana, co myślą o tym pańskie ofiary?

– Mam to gdzieś.

– Tego się właśnie obawiałem: jest pan niezdolny do empatii. Typowe dla ludzi w dzieciństwie niekochanych.

– No proszę, i po co mi psychiatra, skoro mam pana?

– To sprawy podstawowe.

– Fakt, nie sądzę, żeby rodzice mnie kochali. Nie pamiętam ich, bo rozstali się z życiem, kiedy miałem cztery lata. Popelnili jednak samobójstwo, a myślę, że ludzie kochający własne dziecko nie odbierają sobie życia. Znaleziono ich wiszących na belce stropu w salonie, jedno obok drugiego.

– Dlaczego to zrobili?

– Nie wiadomo. Nie zostawili żadnego listu. Moi dziadkowie nigdy nie potrafili tego kroku zrozumieć.

– Ani mi się śni panu współczuć, choć zapewne powinienem.

– Słusznie. Nie ma powodu się nade mną litować.

– Gwałciciele budzą we mnie wyłącznie odrazę.

– Popelnilem tylko jeden gwałt; czy to nie za mało, by uważać mnie za gwałciciela?

– A jak pan sobie wyobraża? Że dopiero po zaliczeniu określonej liczby ofiar zasługuje się na to miano? Podobnie jest z morderstwem; wystarczy jeden zamordowany.

– Jakież zabawny jest język. Sekundę przed popelnieniem tego czynu byłem człowiekiem; sekundę po – gwałcicielem.

– Ze zgrozą stwierdzam, że to pana śmieszy.

– W każdym razie byłem gwałcicielem przykładnie wiernym. Nigdy więcej nie zgwałciłem, ani nawet nie tknąłem żadnej innej kobiety. Był to mój jedyny stosunek seksualny w życiu.

– Dla ofiary to żadna pociecha.

– I to wszystko, co ma pan do powiedzenia?

– Wcale mnie nie dziwi, że taki czubek jak pan nie miał życia seksualnego.

– Czy taka abstynencja nie wydaje się panu czymś romantycznym?

– Trudno sobie wyobrazić człowieka mniej romantycznego niż pan.

– No nie wiem. Zresztą nieważne. Wracam do mojej opowieści. W końcu zrozumiawszy, że jest to ostatnie miejsce, które dziewczyna chciałaby odwiedzić, przestałem chodzić na cmentarz Montmartre. I tak rozpoczęła się moja długa wędrówka po Paryżu w poszukiwaniu tej, która stawiała się dla mnie coraz większą obsesją. Przeczesałem miasto metodycznie, kwartał za kwartałem, dzielnica za dzielnicą, ulica za ulicą, stacją metra za stacją metra.

– Igła w stogu siana.

– Mijały lata. Nadal wegetowałem, utrzymując się za pieniądze z mojego spadku. Poza czynszem i wyżywieniem nie miałem żadnych wydatków. Ani też żadnej potrzeby rozrywki; prócz snu, cała moja aktywność sprowadzała się do wędrówki po Paryżu.

– Nie nachodziła pana policja?

– Nie. Przypuszczam, że ofiara nie wniosła skargi.

– Co za błąd z jej strony!

– I co za paradoks; poszukiwanym był nie przestępca, ale ofiara.

– Dlaczego pan jej szukał?

– Z miłości.

– Rzygać się chce, słysząc, co niektórzy ludzie nazywają miłością.

– Ostrożnie; jeśli pan uderzy w tę nutę, uraczę pana wykładem na temat miłości.

– Litości, nie!

– Tym razem zgoda. Dziesięć lat temu, czyli dziesięć lat po gwałcie, włoczyłem się po Dwudziestej Dzielnicy, pogryzając hot doga jak ostatni palant, i nagle kogóż widzę na bulwarze Menilmontant? Ją! Ponad wszelką wątpliwość ją. Rozpoznałbym ją nawet pośród miliarda kobiet. Przemoc seksualna wiąże ludzi. Te dziesięć lat zdołało sprawić jedynie tyle, że stała się jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej krucha i wzruszająca. Ruszyłem jej śladem. Czy to nie pech, że kiedy po dziesięciu latach życia w zawieszeniu człowiek odnajduje wreszcie ukochaną, musi się akurat opychać gorącą parówką ociekającą musztardą? Szedłem za nią, dławiąc się bułką.

– Trzeba było wyrzucić ten swój przysmak.

– Oszalał pan? Od razu widać, że nie zna pan hot dogów z bulwaru Menilmontant; czegoś takiego się nie wyrzuca. Pozbywając się hot doga, poczułbym się rozżalony na panią mego serca, przez co moja miłość stałaby się mniej czysta. Podświadomie obwiniałbym ją o utratę parówki.

– Zostawmy te nad wyraz głębokie dywagacje.

– Tylko ja jestem na tyle szczerzy, by się do czegoś przyznać podobnego.

– Brawo. Dalej.

– No proszę? Pasjonuje pana moja opowieść! Wiedziałem, że wcześniej czy później pana wciągnie. Niech pan zgadnie, z jakim zamiarem przyszła tutaj moja ukochana?

– Zafundować sobie hot doga?

– Nie. Sprzedawca hot dogów ma swoją budkę dokładnie naprzeciwko Père-Lachaise, dokąd właśnie zmierzała. Powinienem był się tego domyślić; zniechęciwszy się przeze mnie do cmentarza Montmartre, musiała sobie znaleźć inną nekropolię. Gwałt nie zabił w niej szlachetnego upodobania do cmentarzy. A że cmentarz na Montparnasse jest zbyt brzydki, więc zdecydowała się na Père-Lachaise, co uznałbym za cudowne zrządzenie losu, gdyby nie było tam takiego tłumu żywych.

– A to znacznie utrudnia gwałty.

– Właśnie. Dokąd się udać, skoro człowiek nie może już zaspokoić swoich żądz na cmentarzach?

– Jak pech, to pech.

– Podążałem więc jej śladem między grobami. Ożywały we mnie wspomnienia. Ruszyła biegnącą w górę alejką. Podziwiałem jej krok czujnego zwierzęcia. Przełknąwszy ostatni kęs hot doga, dogoniłem ją. Serce waliło mi jak szalone. Powiedziałem: „Dzień dobry! Czy pani mnie sobie przypomina?”. Przepraszającym tonem odrzekła, że nie.

– Jak to możliwe, żeby pana nie poznała? Czyżby przez tych dziesięć lat tak bardzo się pan zmienił?

– Nie wiem. Nigdy się sobie specjalnie nie przyglądałem. Z tym że jej zachowanie nie było takie znów niewiarygodne. Jakie bowiem wspomnienie pozostaje po gwałtocielu? Niekoniecznie jego twarzy. Patrzyłem na nią z miłością tak wielką, że musiałem sprawiać bardzo sympatyczne wrażenie. Uśmiechnęła się do mnie. Ten uśmiech! Rozdzierający mi serce. Zapytała, gdzieśmy się spotkali. Zaproponowałem, żeby zgadywała. Powiedziała: „Wiele bywamy z mężem. Nie jestem w stanie spamiętać twarzy wszystkich ludzi, których spotykam”.

– Więc wyszła za mąż.

– Zaczęliśmy rozmawiać. Z wielkim wdziękiem pokonywała w sobie nieśmiałość. Ale najzabawniejsze było to, że nadal nie wiedziałem, jak ma na imię. Nie mogłem jej jednak o to zapytać, bo to przecież ona miała odgadnąć, kim jestem. W końcu rzekła: „Poddaję się”.

– I co pan tej biedaczce odpowiedział?

– Texel. Textor Texel.

– Powinienem był się tego domyślić.

– Znów zaczęła się usprawiedliwiać: „Nic mi nie mówi to nazwisko”. Dodałem, że jestem Holendrem. Słuchała mnie z zachwycającą uprzejmością.

– Więc i ona musiała przez to wszystko przejść? Kocie żarcie, śmierć kolegi z klasy, jansenizm? Nic jej nieszczęsnej nie zostało oszczędzone.

– Nie, gdyż zdarzył się cud. Nagle zrobiła minę, jakby sobie coś przypominała. „Faktycznie, panie Texel. To było w restauracji w Amsterdamie. Służbowy obiad, na którym towarzyszyłam mężowi” – i choć byłem trochę zde gustowany na myśl, że jej mąż bywa na służbowych obiadach, nie zamierzałem przepuścić nadarzającej się okazji, by wzbudzić w niej zaufanie.

– Swoją drogą to jednak niewiarygodne, żeby mogła zapomnieć człowieka, który ją napadł.

– Cierpliwości. Zapytała, co słyhać u mojej żony, niejakiej Lieve, do której poczuła sympatię podczas owego pamiętnego obiadu sprzed trzech czy czterech lat. Zaskoczony odparłem, że ma się świetnie i że mieszkamy obecnie w Paryżu.

– Co za farsa.

– A wtedy to zaprosiła nas, moją żonę i mnie, na herbatę do siebie nazajutrz po południu. Ma pan pojęcie? Być podejmowanym przez swoją ofiarę herbatką? Było to tak niesamowite, że się zgodziłem. Plusem całej sprawy było to, że podała mi swój adres, choć nie nazwisko, które, jak należało domniemywać, znałem.

– I poszedł pan?

– Tak, po bezsennej nocy poszedłem. Czulem się tak niewymownie szczęśliwy z powodu odnalezienia jej, że nie powstał we mnie nawet cień niepokoju. Skądinąd miałem nadzieję, że na drzwiach mieszkania figurować będzie jej nazwisko, jak to nieraz bywa, dzięki czemu dowiem się nareszcie, kim jest. Niestety, następnego dnia przy dzwonku nie było żadnego nazwiska. Otworzyła drzwi. Twarz jej najpierw pojaśniała, a potem się zachmurzyła. „Przyszedł pan bez Lieve?!”. Wyjaśniłem, że żona źle się czuje. Posadziła mnie w salonie i poszła przygotować herbatę. Pomyślałem wtedy, że nie ma gosposi i że dobrze się składa, iż jesteśmy w mieszkaniu sami.

– Znów zamierzał ją pan zgwałcić?

– Tego, co było zbyt doskonale, nie należy powtarzać, gdyż prowadzi to tylko do rozczarowania. To znaczy gdyby sama mi to zaproponowała...

– Wówczas nie byłby to gwałt.

– Czysta logika. Bo widzi pan, moje skromne doświadczenie podpowiada mi, że seks uprawiany za przyzwoleniem drugiej osoby musi być nieco bezbarwny.

– Przemawia pan *ex cathedra*.

– Proszę się postawić w mojej sytuacji. Kochałem się tylko raz i był to gwałt. Odtąd seks kojarzy mi się wyłącznie z przemocą. Jeśli wyeliminować z seksu przemoc, co pozostaje?

– Miłość, przyjemność, rozkosz...

– No właśnie, sama nuda. Przywykłem do tabasco, a pan proponuje mi ryżowe ciasteczka!

– Nic panu nie proponuję!

– Skądinąd ona też nic mi nie zaproponowała.

– Co załawia sprawę.

– W rzeczy samej. Zabawne było przyjmować filiżankę herbaty z rąk swojej ofiary, uprzejmej i czarującej w jej uroczym salonie. „Może jeszcze herbaty, panie Texel?”. „Proszę mi mówić Textor?”. Niestety, nie przyszło jej do głowy, by wyjawić w zamian własne imię. „Podoba się panu Paryż?”. Gawędziliśmy w sposób niezwykle cywilizowany. Napawałem się widokiem jej twarzy.

– Niemożliwe, żeby pana nie poznała.

– Cierpliwości. W pewnym momencie powiedziała coś zabawnego, co mnie rozśmieszyło. Roześmiałem się na cały głos. Wtedy zobaczyłem, że zmienia się na twarzy. Wzrok jej stał się lodowaty; utkwiała spojrzenie w moich dłoniach, tak jakby je również rozpoznała. Z czego należy wnosić, że mam charakterystyczny śmiech.

– Z czego należy również wnosić, że gwałcąc ją, też pan się śmiał, co jest już szczytem wszystkiego.

– Szczytem szczęścia, a jakże. Powiedziała lodowatym głosem: „To pan”. Odrzekłem: „Tak, to ja. Ciężar spadł mi z serca, że mnie pani nie zapomniała”. Najpierw długo wpatrywała się we mnie z nienawiścią i ze zgrozą. Potem, po nieskończonej długiej chwili milczenia powtórzyła: „Tak, to pan”. Powiedziałem: „Jeden cmentarz od drugiego dzieli dziesięć lat. Nigdy nie przestałem o pani myśleć. Przez całe te dziesięć lat mojego życia pani szukałem”. Powiedziała: „A ja przez całe te dziesięć lat mojego życia usiłowałam wymazać pana z pamięci”. Powiedziałem: „Co się jednak nie udało”. Powiedziała: „Udało mi się wymazać z pamięci pańską twarz, lecz ten odrażający śmiech ożywił na nowo wspomnienia. Nigdy nie rozmawiałam z nikim o tym wydarzeniu, by tym pewniej pogrzebać pana w pamięci. Wysłałam za mąż i próbuję prowadzić życie przesadnie wprost normalne, broniąc się przed obłędem, w jaki mnie pan wpędził. Dlaczego musiał się pan napatoczyć właśnie teraz, gdy zaczynałam już wracać do zdrowia?”.

– W rzeczy samej, dlaczego?

– Odrzekłem: „Z miłości”. Skrzywiła się z odrazą.

– Jakże dobrze ją rozumiem.

– Powiedziałem: „Kocham panią. Nigdy nie tknąłem ani nawet nie zapragnąłem żadnej innej kobiety. Kochałem się tylko raz w życiu, z panią”. Powiedziała, że czegoś takiego nikt nie nazwie „kochaniem się”. „W myślach nieustannie z panią rozmawiałem. Czy uzyskam wreszcie odpowiedzi na moje pytania?”. Powiedziała, że nie. Kazała mi wyjść. Oczywiście nie posłuchałem. Powiedziałem: „Proszę się nie obawiać, nie ma mowy, żebym panią znów zgwałcił”. Na co ona: „W rzeczy samej nie ma o tym mowy. Nie jesteśmy już na cmentarzu, tylko u mnie w mieszkaniu. Mam tu noże, i nie zawaham się ich użyć”. Wtedy powiedziałem: „Właśnie po to tu przyszedłem”.

– Słucham?

– Zareagowała tak samo jak pan. Powiedziałem: „Chciałem się z panią zobaczyć jeszcze raz z dwóch powodów. Przede wszystkim, żeby wreszcie poznać pani imię. A poza tym, żeby mogła się pani zemścić”. Powiedziała: „Nie załatwi pan ani jednego, ani drugiego. Proszę wyjść”. Powiedziałem, że nie wyjdę, dopóki nie otrzymam tego, co mi się należy. Powiedziała, że nic mi się nie należy. Zapytałem: „Czyżby nie chciała się pani zemścić?”. Odrzekła: „Życzę panu jak najgorzej, lecz nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Chcę tylko, żeby raz na zawsze zniknął pan z mojego życia”. Zapytałem: „Jak to, więc nie sprawi pani przyjemności zabicie mnie? Wówczas na pewno zniknąłbym z pani życia!”. Odpowiedziała: „Nie sprawiłoby mi to najmniejszej przyjemności, a zważywszy, ile kłopotów bym miała potem z wymiarem sprawiedliwości, jeszcze bardziej wrósłby pan w moje życie”.

– Dlaczego nie wezwała policji?

– Nie pozwoliłbym. Tak czy inaczej chyba jej na tym nie zależało; miała dziesięć lat na powiadomienie policji, a nie skorzystała z tej furtki.

– Ale czemu?

– Bo nie chciała z nikim rozmawiać o tym gwałcie, licząc, że tylko w ten sposób o nim kiedyś zapomni.

– Zmuszona więc była stwierdzić, iż popełniła błąd, skoro gwałciciel ją odnalazł.

– Nie zależało mi na takiej ulgowej sprawiedliwości. Zależało mi na sprawiedliwości z pierwszej ręki, takiej, którą wymierzyłyby sama, pozbawiając mnie życia.

– To chciał pan, żeby pana zabiła?

– Tak jest. Zależało mi na tym.

– Kompletny z pana wariat.

– Nie sądzę. Dla mnie wariat to ktoś, kto zachowuje się w sposób niewytłumaczalny. A ja

wszystkie moje zachowania potrafię wytłumaczyć.

– Pan jeden.

– To mi w zupełności wystarczy.

– Skoro tak panu zależało, żeby umrzeć dla odpokutowania winy, czemu pan nie popełnił samobójstwa?

– Skąd te romantyczne wymysły? Po pierwsze wcale mi nie zależało, żeby umrzeć, tylko żeby zostać zabitym.

– Na jedno wychodzi.

– Następnym razem, kiedy będzie miał pan ochotę na seks, powinno się panu powiedzieć: „Proszę się poonanizować. To na jedno wychodzi”. Poza tym skąd ten pomysł, że szukałem pokuty? To by sugerowało, że czułem skruchę z powodu gwałtu, gdy tymczasem był on jedynym aktem godnym tego miana w całym moim życiu.

– To dlaczego, skoro nie czuł pan wyrzutów sumienia, chciał pan, żeby pana zabiła?

– Chciałem, żeby i ona miała w tym swój udział. Pragnąłem tego, czego pragnie każdy zakochany: wzajemności.

– W takim razie najlogiczniej byłoby pragnąć, żeby pana zgwałciła.

– Bez wątpienia. Trudno jednak wymagać rzeczy niemożliwych. Na to nie mogłem liczyć. Śmierć z jej ręki była rozwiązaniem zastępczym.

– To tak, jakby postawić znak równości między seksem i morderstwem. Przecież to absurd.

– Niemniej tak właśnie twierdzą wielcy uczeni.

– Jest pan pretensjonalny nawet w swoich umysłowych aberracjach.

– Tak czy owak próżne gadanie, skoro nie chciała mnie zabić. Nie to, żebym nie nalegał; wymyślałem tysiące argumentów, by ją przekonać. Wszystkie odrzucała. W końcu zapytałem, czy przypadkiem to nie przekonania religijne wzbraniają jej się zemścić. Odrzekła, że nie ma żadnych. Na co powiedziałem: „Ktoś, kto nie wyznaje żadnej religii, może robić wszystko, co chce”. Odparła: „Jeśli o mnie idzie, nie chcę pozbawiać pana życia. Chciałabym tylko, żeby trafił pan z dożywociem za kratki, niezdolny już komukolwiek szkodzić, i żeby współwięźniowie zgotowali panu piekło”. „Dlaczego pani sama się tym nie zajmie? Po co cedować na innych własne pragnienia?”, zapytałem. Odrzekła: „Przemoc nie leży w mojej naturze”. Powiedziałem: „Jestem rozczarowany”. Na co ona: „Cieszę się, że pana rozczarowałam”.

– W głowie mi się kręci od tych wszystkich „powiedziałem... powiedziała... powiedziałem... powiedziała... „,

– Kiedy w Księdze Rodzaju Bóg bierze na spytki Adama po tej historii z zakazanym owocem, ten tchórz w taki właśnie sposób relacjonuje zachowanie swojej żony: „Powiedziałem... powiedziała... „. Biedna Ewa.

– Przynajmniej co do tego jednego jesteśmy zgodni.

– Zgadza się znacznie bardziej, niż się panu wydaje. Powiedziałem: „W takim razie co pani proponuje?”. Powiedziała: „Niech pan na zawsze zniknie mi z oczu”. Powiedziałem: „Przecież nie możemy się tak po prostu rozstać!”. Powiedziała: „Możemy i musimy”. Powiedziałem: „Nie ma mowy. Za bardzo panią kocham. Chcę, żeby coś się wydarzyło”. Powiedziała: „Nie obchodzą mnie pańskie zachcianki”. Powiedziałem: „Nie powinna pani tak mówić. To niegrzeczne”. Zaczęła się śmiać.

– Było z czego.

– Powiedziałem: „Rozczarowuje mnie pani”. Odparła: „Nie brak panu tupetu. Mało, że mnie pan zgwałcił, to w dodatku powinnam jeszcze sprostać pańskim oczekiwaniom?”. Powiedziałem: „A gdybym pomógł pani mnie zamordować? Przekona się pani, że jestem chętny do współpracy”. Powiedziała: „Nie zdołam się przekonać, ponieważ zaraz się pan stąd wyniesie”. Powiedziałem: „Wspomniała pani o nożach. Gdzie one są?”. Nic nie odrzekła. Poszedłem więc do kuchni i wróciłem z wielkim nożem.

– Czemu nie próbowała ucieczki?

– Bo jedną ręką mocno ją trzymałem. Drugą wcisnąłem jej w dłoń nóż skierowany ostrzem w mój brzuch i rozkazałem: „Do dzieła”. Rzekła: „Ani mi się śni. Sprawiłoby to panu zbyt wielką frajdę”. Powiedziałem: „Proszę to zrobić nie dla mnie, tylko dla siebie”. Powiedziała: „Powtarzam, że nie mam najmniejszej ochoty”. Powiedziałem: „Więc proszę to zrobić bez ochoty, żeby mnie sprawić przyjemność”. Roześmiała się: „Prędzej zginę, niż sprawię panu przyjemność!”. Powiedziałem: „Ostrożnie, bo wezmę panią za słowo”. „Nie boję się takiego świra jak pan!”. Powiedziałem: „Chyba zdaje sobie pani sprawę, że ten nóż musi zostać wykorzystany. Nie rozumie pani, że musi się polać krew?”. Odrzekła: „Nic się nie musi”. Powtórzyłem: „Musil!” i odebrałem jej nóż. Wówczas zrozumiała, lecz było już za późno. Próbowała się wyrwać. Na próżno. Nie była siłaczką. Zatopiłem ostrze w jej brzuchu. Nawet nie krzyknęła. Powiedziałem: „Kocham panią. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak pani ma na imię”. Upadła, z ironicznym grymasem szepcząc: „Ma pan osobliwy sposób pytania ludzi o imię”. Nawet w obliczu śmierci pozostała osobą bardzo kulturalną. „Proszę, niech mi pani powie!”. „Prędzej umrę”, i to były jej ostatnie słowa. Z wściekłości podźgałem nożem jej łono. Wszystko na nic, bo i tak wygrała; umarła, pozostając dla mnie bezimienną.

Zapadła długa chwila ciszy. Jérôme August wyglądał jak człowiek zdzielony obuchem w

leb. Textor Texel mówił dalej:

– Wyszedłem, zabierając z sobą nóż. Zupełnie niechcący popełniłem zbrodnię doskonałą; oprócz ofiary nikt nie wiedział o mojej obecności. Odciski palców, jakie pozostawiłem, były niewystarczające, żeby mnie schwytać. Najlepszy dowód, że nadal pozostaję na wolności. Nazajutrz w gazecie znalazłem nareszcie odpowiedź na moje pytanie. W mieszkaniu, które już znałem, odkryto zwłoki niejakiej Isabelle. Isabelle! Byłem zachwycony.

Ponowne milczenie.

– Znałem tę dziewczynę lepiej niż ktokolwiek inny. Zgwałciłem ją, a to już jest coś; zamordowałem ją, a to najlepszy sposób, by kogoś poznać intymnie. Brakowało mi tylko głównego elementu układanki: imienia. Ta luka była dla mnie rzeczą nie do zniesienia. Przez dziesięć lat znajdowałem się w sytuacji czytelnika, który będąc opętany jakimś arcydziełem, kluczową książką mogącą nadać sens jego życiu, nie zna jednak jej tytułu.

Milczenie.

– I oto wreszcie odkryłem tytuł uwielbianego arcydzieła: jej imię. I to jakie imię! Przez wszystkie te lata lękiem przejmowała mnie myśl, że pani mego serca mogłaby nazywać się Sandra, Monique, Raymonde czy Cindy. Tymczasem co za ulga – nosiła imię urocze, melodyjne, miłe i czyste jak źródłana woda. Imię to już coś, jak mawiał ten biedny Luc Dietrich. Znając samo tylko imię wybranki, ma się już tyle do kochania. Ja znałem jej imię, jej płęć i jej śmierć.

– I to pan nazywa znajomością drugiego człowieka? – spytał August tonem bezmiernej pogardy.

– Nazywam to wręcz kochaniem go. Isabelle była znana mi lepiej i kochana bardziej niż ktokolwiek inny na świecie.

– Ale nie przez pana.

– A przez kogo, jeśli nie przeze mnie?

– Nie przyszło panu do głowy, nieszczęsny pomyśleńcu, że znać kogoś, to razem z nim mieszkać, rozmawiać, spać, a nie unicestwiać go?

– Oho, zaczynamy się uciekać do szumnych, wzniosłych komunałów. Następną pana odzywką będzie: „Kochać to spoglądać razem w tym samym kierunku”.

– Milcz pan!

– Co się stało, Jérôme August? Czemu pan taki nadąsany?

– Dobrze pan wie.

– Niech pan nie będzie taką mimozą. I tak może się pan uważać za szczęściarza, że nie opisałem panu w szczegółach tego morderstwa. Dobry Boże, ci ludzie, którzy nigdy nikogo

nie zabili, są tak okropnie subtelni!

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że dwudziesty czwarty marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku to był Wielki Piątek?

– A ja sądziłem, że jest pan człowiekiem niewierzącym.

– Bo jestem. Ale pan nie jest. Pewnie nieprzypadkowo wybrał pan tę datę.

– Przysięgam, że to zwykły zbieg okoliczności.

– Nie miałem wątpliwości, że łajdak, który to zrobił, wykazywał ciągoty do mistycyzmu.

Nie wiem, co mnie powstrzymuje przed dobraniem się panu do skóry.

– Czemuż to wziął pan sobie tak do serca los nieznajomej kobiety zmarłej przed dziesięcioma laty?

– Skończmy z tym cyrklem. Od kiedy mnie pan śledzi?

– Co za narcyzm! Jakbym pana rzeczywiście śledził!

– Na początku próbował mi pan wmówić, że napastuje pan nieznajomych, po prostu żeby ich dla własnej przyjemności podręczyć.

– Bo to prawda.

– Tak? I zawsze wybiera pan tych, którym zamordował pan żonę?

– Jak to? To pan był mężem Isabelle?

– Jakby pan o tym nie wiedział!

– No proszę, czyż nie mówiłem o zbiegu okoliczności!

– Dość tego! Przed dziesięcioma laty zabił pan kobietę, która była całym moim światem.

A teraz znalazł pan sposób, by pognać mnie jeszcze bardziej, opowiadając nie tylko o tej zbrodni, ale i o gwałcie dokonany przed dwudziestu laty, o którym nic nie wiedziałem.

– Mężczyźni to okropni egoiści! Gdyby pan uważniej obserwował Isabelle, domyśliłby się pan, co przed panem ukrywa.

– Widziałem, że coś w niej zostało zniszczone. Ale nie chciała o tym rozmawiać.

– Panu zaś było to bardzo na rękę.

– Tego tylko brakowało, żeby ktoś taki jak pan prawil mi morały.

– Otóż myli się pan. Moje postęпки cechuje przynajmniej odwaga.

– A to dobre. Gwałt, zabójstwo to rzeczywiście akty wielkiej odwagi, zwłaszcza gdy popełniono je na tak delikatnej młodej kobiecie.

– Pan zaś, wiedząc, że ja zgwałciłem i zabiłem Isabelle, nie robi nic.

– A co niby miałbym zrobić?

– Nie dalej jak kilka minut temu zapewniał pan, że dobierze mi się do skóry.

– Chciałby pan, żebym to zrobił?

– A jakże.

– Nie sprawię panu takiej frajdy. Wezwę policję.

– Tchórz! Biedna Isabelle! Nie zasługiwał pan na nią.

– A ona jeszcze mniej zasługiwała na to, by ją zgwałcono i zamordowano.

– Ja jeśli już coś robię, to do końca. Pana stać jedynie na to, by wezwać policję. Zemsta *per procurai* – Podpisuję się pod decyzją Isabelle.

– Hipokryta! Isabelle miała prawo nie chcieć mnie ukarać, gdyż to ona była ofiarą. Pan nie ma takiej swobody wyboru. Wybaczyć może tylko ktoś, kto sam został skrzywdzony.

– Tu nie chodzi w żadnym wypadku o to, by panu wybaczyć, tylko o to, by nie wymierzać sprawiedliwości na własną rękę.

– Za tymi pięknymi, tchnącymi praworządnością słowami skrywa pan swoje tchórzostwo.

– Już i tak zniszczył mi pan życie. Nie zamierzam wylądować przez pana w kryminale.

– Jakże to wszystko zręcznie skalkulowane! Żadnego ryzyka. Żadnego wystawiania się na niebezpieczeństwo. Doprawdy, Isabelle, byłaś żoną mężczyzny kochającego cię namiętnie!

– Jestem przeciwnikiem kary śmierci.

– Biedny mięczak! Mowa jest o miłości, a on odpowiada, jakby brał udział w dyskusji towarzyskiej.

– Żeby być przeciwnikiem kary śmierci, trzeba więcej odwagi, niż się panu zdaje.

– Kto tu mówi o karze śmierci, głupcze? Przypuszczam, że jest pan przeciwnikiem kradzieży; niemniej natrafiwszy na walizkę pełną dolarów, nie okaże się pan takim idiotą, żeby ich nie zgarnąć. Korzystaj z okazji, poczwaro!

– To sprawy nieporównywalne. Zamordowanie pana nie zwróci mi żony.

– Ale zaspokoi głuchą i głęboką potrzebę serca, przyniesie ulgę!

– Nie.

– Co płynie w pana żyłach? Woda?

– Niczego nie muszę panu udowadniać. Idę na policję.

– I myśli pan, że po powrocie jeszcze mnie pan tu zastanie?

– Miałem dość czasu, żeby się panu przyjrzeć. Podam im bardzo dokładny rysopis.

– Załóżmy, że mnie złapią. I co pana zdaniem stanie się dalej? Jakie ma pan dowody, poza moim wyznaniem, którego nie słyszał nikt prócz pana? Ja nie zamierzam powtarzać go policji. Jednym słowem, nie ma pan żadnych dowodów.

– Odciski palców sprzed dziesięciu lat.

– Dobrze pan wie, że ich nie zostawiłem.

– Coś jednak – włos, rzęsę – musiał pan po sobie zostawić na miejscu zbrodni.

– Dziesięć lat temu nie stosowano testów DNA. Niechże się pan nie upiera. Nie zamierzam trafić na policję i nie ma obawy, że mnie to spotka.

– Zupełnie pana nie rozumiem. Łaknie pan kary; czemu więc nie kary oficjalnej i legalnej?

– Nie wierzę w tego typu sprawiedliwość.

– Szkoda, bo inna nie istnieje.

– Oczywiście, że istnieje. Zabierze mnie pan do toalety i tam wyrówna ze mną porachunki.

– Czemu akurat do toalety?

– Chyba nie zależy panu, żeby zwinęła pana policja? Lepiej zabić mnie z dala od ludzkich spojrzeń.

– Gdyby odkryto zwłoki w toalecie, znalazłyby się tysiące świadków, którzy widzieli nas wcześniej pogrążonych w rozmowie. Dosiadł się pan do mnie z rzadko spotykaną dyskrecją.

– Z przyjemnością stwierdzam, że zaczyna się pan zastanawiać nad wykonywalnością tego czynu.

– By tym bardziej niezbitcie wykazać niedorzeczność pańskich planów.

– Pominął pan pewien szczegół, który ułatwi to zadanie; to, że nie będę stawiał najmniejszego oporu.

– Niemniej nadal nie pojmuję jednego: czemu tak panu zależy, żebym pana zabił? Co pan na tym zyska?

– Przed paroma minutami sam pan powiedział: czuję potrzebę poniesienia kary.

– Tego właśnie nie rozumiem.

– Tu nie ma nic do rozumienia.

– Niesłychane. Na ziemi aż się roi od kryminalistów, którzy wręcz przeciwnie, usiłują tej kary uniknąć. Taka postawa wydaje mi się bardziej logiczna.

– Bo nie doskwiera im poczucie winy.

– Przed chwilą sam pan powiedział, że nie czuje żadnych wyrzutów sumienia z powodu zgwałcenia mojej żony.

– To prawda. Ponieważ sprawiło mi to przyjemność. Natomiast zamordowanie jej było straszne. Dręczy mnie z tego powodu nieznośne poczucie winy.

– Lecz gdyby również zamordowanie jej sprawiło panu przyjemność, nie czułby pan wyrzutów sumienia?

– Taki już jestem.

– To już nie moje zmartwienie, staruszku. Trzeba się było wcześniej zastanowić.

– Skąd mogłem wiedzieć, że to morderstwo nie sprawi mi przyjemności? By się przekonać, czy się coś lubi, czy nie, trzeba tego wpierw spróbować.

– Mówi pan tak, jakby chodziło o przekąskę.

– Moralność to indywidualna sprawa. Ja osądzam czyny miarą przyjemności, jaką mi sprawiają. Zmysłowa ekstaza stanowi nadrzędny cel istnienia i nie wymaga żadnych uzasadnień. Ale zbrodnia bez przyjemności to bezinteresowne zło, postępek odrażająco szkodliwy. Nic jej nie usprawiedliwia.

– Nie zastanawiał się pan, co o tym wszystkim myśli ofiara?

– Max Stirner, *Jedyny i jego własność* – czy to coś panu mówi?

– Nie.

– Tak też myślałem. Stirner to teoretyk egoizmu. Bliźni istnieje wyłącznie dla mojej własnej przyjemności.

– Fantastyczne. Ludzi o takich poglądach powinno się zamykać.

– „Prawdziwa moralność nic sobie nie robi z moralności”. Pascal. Niech żyje jansenizm!

– Najgorsze jest to, że dla tych swoich żalosnych, sadystycznych poczynań wynajduje pan uzasadnienia intelektualne.

– Skoro jestem taki odrażający, niech mnie pan zabije.

– Nie chcę.

– Skąd pan może wiedzieć, czy pan chce, czy nie chce? Przecież nigdy pan nie próbował. Może się to panu spodoba.

– Nigdy nie przejmę pańskiej moralności. Jest pan szaleńcem.

– To już zakrawa na jakąś manię, nazywanie szaleńcami wszystkich, których postępowania nie jest się w stanie zrozumieć. Co za lenistwo umysłowe!

– Facet, który chce, żebym go zabił, bo dręczy go poczucie winy, jest czubkiem. Sam pan przed chwilą mówił, że szaleniec to ktoś, kto zachowuje się w sposób niezrozumiały. A właśnie ta pańska potrzeba poniesienia kary jest niezrozumiała: w żaden sposób nie przystaje do moralności takiego zatwardziałego egoisty jak pan.

– Nie wiadomo. Nikt mnie jeszcze nigdy nie próbował zabić. A to mogłoby się okazać bardzo przyjemne. Nie należy przesądzać z góry o doznaniach, których się nie przeżyło.

– Wystarczy wyobrazić sobie, że jest to niemiłe. I nieodwracalne.

– Nawet jeśli jest niemiłe, to tylko chwila. A potem...

– Właśnie, co potem?

– Potem – identyczna sytuacja: nigdy nie byłem martwy. A to może okazać się wspaniałe.

– A jeśli nie?

– Mój drogi, wcześniej czy później i tak mnie to spotka. Widzi pan: to równie dobrze pomyślane jak zakład Pascala. Nic nie tracę, a wszystko mogę zyskać.

– A życie?

– Przecenia się jego wartość.

– Więc jak wytłumaczyć, że tylu ludzi jest do niego tak przywiązanych?

– To ludzie, którzy na tym świecie mają przyjaciół i mają miłość. Ja tego nie mam.

– Lecz czemu właśnie ja, który w najwyższym stopniu panem gardzę, miałbym panu oddać tę przysługę?

– Żeby zaspokoić swoją żądzę zemsty.

– Źle pan to sobie wykalkulował. Gdyby się pan zjawił dwa dni po morderstwie, z całą pewnością porachowałbym panu kości. Zjawiając się po dziesięciu latach, musiał się pan liczyć z tym, że moja nienawiść ostygnie.

– Zjawiając się po dwóch dniach, ryzykowałbym, że wyda mnie pan w ręce policji. Odstęp dziesięciu lat sprawia mi frajdę, i to tym większą, że tyle samo lat dzieli gwałt od morderstwa. Jestem zbrodniarzem wyczulonym na rocznice. Pozwoli pan, że zwrócę panu uwagę na dzisiejszą datę?

– Dziś jest... dwudziesty czwarty marca!

– Nie pomyślał pan o tym?

– Myślę o tym codziennie, drogi panie, nie tylko raz w roku dwudziestego czwartego marca.

– Miałem do wyboru czwarty październik, datę gwałtu, lub dwudziesty czwarty marca, datę morderstwa. Pomyślałem, że w naszym przypadku gwałt raczej nie wchodzi w rachubę.

– Chwała Bogu...

– Bardziej prawdopodobne było morderstwo. Pewnie, że wolałbym, by wszystkie te trzy daty się pokrywały; to dopiero byłby szyk! Co dziesięć lat, każdego czwartego października i każdego dwudziestego czwartego marca! Niestety, życie dalekie jest od ideału.

– Nieszczęsny maniak.

– Powiedział pan, że w ciągu tych dziesięciu lat pańska nienawiść ostygła. Bez obaw, chętnie panu pomogę rozniecić ją na nowo.

– Nie warto. I tak pana nie zabiję.

– Zobaczymy.

– Szkoda czasu.

– Mięczak!

– Denerwuje to pana, co?

- Chyba nie dopuści pan, żeby takiemu kryminaliście jak ja wszystko uszło na sucho!
- Skąd mam wiedzieć, że to właśnie pan dokonał tej zbrodni? Jest pan wystarczająco stuknięty, by wymyślić całą tę historię.
- Pan mi nie wierzy?
- Ani trochę. Nie ma pan żadnego dowodu na prawdziwość swoich opowieści.
- To już szczyt wszystkiego! Mogę panu dokładnie opisać Isabelle.
- To jeszcze o niczym nie świadczy.
- Mogę przytoczyć różne intymne szczegóły.
- Co będzie świadczyć tylko o tym, że poznał ją pan intymnie, a nie że zgwałcił ją i zabił.
- Mogę udowodnić, że ją zamordowałem. Wiem dokładnie, w jakiej pozycji znalazł pan ciało i w które miejsca ugodził nóż.
- Mógł pan poznać te szczegóły z ust mordercy.
- Doprowadza mnie pan do obłędu.
- Już pana doprowadziłem.
- Czemu miałbym przyznawać się do niepopelnionej zbrodni?
- Z takim psycholem jak pan wszystko jest możliwe. Żeby mieć tę przyjemność, że pana zabiję.
- Nie zapominajmy, że potrzeba śmierci z pana ręki wywołana jest moim poczuciem winy.
- Gdyby to była prawda, tak głośno by się pan tym nie przechwalał. Wyrzuty sumienia są dodatkową przewiną.
- Pan cytuje Spinozę!
- Nie pan jeden jest odcytany.
- Nie lubię Spinozy.
- Nic dziwnego. Za to ja bardzo.
- Rozkazuję panu mnie zabić!
- To, że pan nie lubi Spinozy, nie wystarczy, żebym pana zabił.
- Zgwałciłem i zabiłem pańską żonę!
- Opowiada pan to każdemu z tych pechowców, których napastuje pan na lotniskach?
- Pan jest pierwszym i jedynym, któremu zgotowałem ten los.
- Zbytek łaski. Niestety, ani mi się śni w to wierzyć; ma pan zbyt doszlifowaną technikę jak na debiutanta. Na miłą pachnie mi pan rutynowym dręczycielem.
- Czyż nie dociera do pana, że jest pan wybrańcem? Jansenista taki jak ja nigdy by się nie zgodził zginąć z innej ręki jak tylko człowieka, któremu zgwałcił i zamordował żonę.

– I kogo spodziewa się pan przekonać tak pokrętnym argumentem?

– Ale z pana tchórz! Usiłuje pan wmówić sobie, że nie jestem mordercą, tylko po to, żeby nie musieć mnie zabijać.

– Żałuję, ale dopóki nie przedstawi pan jakiegoś prawdziwego, materialnego dowodu swojego czynu, dopóty nie będę miał żadnych podstaw, by panu uwierzyć.

– Wiem, do czego pan zmierza! Ma pan cichą nadzieję, że taki materialny dowód istnieje, by potem na jego podstawie wydać mnie w ręce policji. Bez niego nic pan na mnie nie ma. Przykro mi, nieszczęsny cykorze, ale żaden dowód rzeczowy nie istnieje. Policji będzie musiało wystarczyć samo pańskie słowo. Niech pan wbije sobie to do głowy raz na zawsze, że albo sam mi pan wymierzy sprawiedliwość, albo nie zostanie ona wymierzona wcale.

– Mścić się na wariacie, który podaje się za zbrodniarza, byłoby nonsensem. Tak samo przyznawał się pan do zabicia szkolnego kolegi, choć jedyne, co pan uczynił, to modlił się o jego zgubę; wiem mniej więcej, co z pana za morderca.

– I nadal uważa pan, że broń, którą popełniono zbrodnię, dostałem od mordercy? Po co trzyma się pan tak kurczowo tych wymysłów, skoro prawda jest tak prosta?

– Jestem na lotnisku, dowiaduję się, że mój samolot ma opóźnienie. Przysiada się do mnie jakiś facet i zaczyna wygadywać różne niestworzone historie. Od nudnych wynurzeń przechodzi do wyznania, że dwadzieścia lat temu zgwałcił moją żonę, a dziesięć lat później ją zabił. I uważa pan za normalne, że w to wszystko uwierzę?

– Owszem. Tyle że pańska wersja jest mocno nieścisła.

– Ach tak?

– Kiedy się pan dowiedział, że dwudziestego czwartego marca wyjeżdża pan służbowo do Barcelony?

– Nie pański interes.

– Nie chce pan powiedzieć? No to ja powiem. Dwa miesiące temu zatelefonowano do pańskiego szefa z Barcelony, powiadamiając go o licznych interesujących możliwościach rynkowych oraz o posiedzeniu zarządu dwudziestego czwartego marca. Wątpi pan w autentyczność tego Katalończyka, równie katalońskiego jak ja i pan, dzwoniącego z własnego mieszkania w Paryżu?

– Nazwisko mojego szefa?

– Jean-Pascal Meunier. Nadal mi pan nie wierzy?

– Wszystko to dowodzi jedynie, że jest pan natrętem. Tyle już wiedziałem wcześniej.

– Ale natrętem skutecznym, co?

– Powiedzmy raczej, natrętem dobrze poinformowanym.

– Nadal twierdę, że skutecznym; niech pan nie zapomina o numerze ze spóźnieniem samolotu.

– Co? To także pana sprawka?

– Głupcze, czy teraz wreszcie rozumiesz?

– Jak pan to zrobił?

– Tak samo jak z pańskim szefem: przez telefon. Zadzwoiłem z kabiny telefonicznej na lotnisku i powiedziałem, że w samolocie ukryta jest bomba. Niesamowite, ile to zamieszania w dzisiejszych czasach można narobić jednym głupim telefonem.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że mogę zawiadomić policję?

– Zdaję. Ale nawet zakładając, że zdoła ich pan przekonać, to po zapłaceniu bardzo wysokiej grzywny i tak mnie wypuszczą.

– Kolosalnej grzywny, drogi panie.

– I to, że wywinę się z tego dzięki forsie, wystarczy panu do pomszczenia gwałtu i morderstwa żony?

– Wszystko pan przewidział, kanalio.

– Rad jestem, widząc, że znów dochodzą w panu do głosu wyższe uczucia.

– Zaraz, zaraz, a to spóźnienie samolotu to po co?

– Niechże pan choć raz ruszy głową. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że ta rozmowa mogła odbyć się jedynie w poczekalni na lotnisku. Potrzebne mi było miejsce, gdzie uda mi się przyprzeć pana do muru. Musiał pan lecieć tym samolotem, nie mógł pan sobie pozwolić na to, żeby wstać i odejść.

– Teraz już, wiedząc, że to blef, mogę wstać i odejść.

– Co z tego, że pan już wie, że to blef. Nie pozwoli pan chyba wymknąć się człowiekowi, który zrujnował panu życie.

– Nie pojmuję, dlaczego aż tyle czasu zajęła panu ta opowieść. Po co się było wdawać w te historie z karmą dla kotów, zamiast przyjść i na wstępie prosto z mostu oświadczyć: „Jestem mordercą pana żony”?

– Tak się nie robi. Jestem człowiekiem przywiązującym ogromną wagę do formy. Postępuję zgodnie z zasadami niewzruszonej jansenistycznej kosmetyki.

– Co wspólnego z tym wszystkim mają produkty kosmetyczne?

– Kosmetyka, ciemny człowieku, jest nauką o porządku uniwersalnym, o najwyższej moralności warunkującej świat. To nie moja wina, że to urocze słowo przywłaszczyły sobie kosmetyczki. A więc byłoby niezgodne z jansenistyczną kosmetyką, gdybym przyszedł i z miejsca wyjawiał, że został pan wybrany. Musiał pan sam do tego dojść kosztem diabelnego

zawrotu głowy.

– Niech pan raczej powie, że trzeba mnie było rozjuszyć do białej gorączki.

– W pewnym sensie ma pan rację. Chcąc przekonać wybrańca do jego misji, trzeba mu się dobrać do nerwów. Trzeba go do żywego rozsierdzić, tak żeby zareagował prawdziwie, emocjami, a nie głową. Skądinąd uważam, że nadal kieruje się pan zanadto rozumem, gdy tymczasem ja odwołuję się do pańskiej wrażliwości.

– To źle pan trafił; nie tak łatwo mną manipulować, jak się panu zdaje.

– Wciąż jeszcze pan sądzi, że usiłuję panem manipulować, gdy ja wskazuję to, co mogłoby stać się naturalną drogą postępowania, pańskim kosmetycznym przeznaczeniem. Jestem winowajcą. Nie wszyscy zbrodniarze doświadczają poczucia winy, lecz raz go doświadczywszy, nie są w stanie myśleć już o niczym innym. Człowiek winny zdąża ku karze niczym woda do morza, jak skrzywdzony do zemsty. Jeśli pan się nie zemści, Jérôme Angust, pozostanie pan człowiekiem niespełnionym, nie udźwignie pan brzemienia swego wyboru, nie wyjdzie pan naprzeciw swemu przeznaczeniu.

– Słuchając pana, można by pomyśleć, że wszystko, co pan dotąd robił, miało na celu wyłącznie jedno: ponieść któregoś dnia karę.

– Bo tak właśnie jest.

– To idiotyczne.

– Człowiek ma takich zbrodniarzy, na jakich sobie zasłużył.

– Nie mógłby pan być jednym z tych brutali bez sumienia, co to mordują, nie odczuwając potrzeby późniejszego tłumaczenia się i usprawiedliwiania?

– Więc wolałby pan, żeby pańską żonę zgwałcił i zabił taki właśnie troglodyta?

– Wolałbym, żeby w ogóle nie została zgwałcona ani zabita. Lecz skoro tak się już stało, to owszem, wolałbym brutala z prawdziwego zdarzenia niż takiego upośledzonego umysłowo typa jak pan.

– Drogi Jérôme Angust, powtarzam: człowiek ma takich zbrodniarzy, na jakich sobie zasłużył.

– Tak jakby moja żona sobie na coś takiego zasłużyła! To ohydne, co pan mówi!

– Nie pańska żona, tylko pan!

– To jeszcze ohydniejsze! Więc dlaczego na nią padło, a nie na mnie?

– Niezmiernie mnie bawi ta bezosobowa forma.

– Bawi pana? To już szczyt wszystkiego! Poza tym czemu pan tak kretyńsko szczyrzy zęby? Uważa pan, że jest się z czego śmiać?

– No, no, proszę się uspokoić.

– Uważa pan, że w takiej sytuacji można zachować spokój? Nie ścierpię pana ani chwili dłużej.

– To niech mnie pan zabije. Zaprowadzi mnie pan do toalety, rozwali mi łeb o ścianę, i po kłopotcie.

– Nie zrobię panu tej przyjemności. Idę na policję. Jestem pewny, że znajdzie się sposób, żeby pana wsadzić do pudła. Dziesięć lat temu nie stosowano testów DNA, ale dziś już się je stosuje. Na pewno zostawił pan jakiś włos lub rzęsę na miejscu zbrodni. To wystarczy.

– Świetny pomysł. Proszę, niech pan idzie na policję. Myśli pan, że po powrocie mnie tu jeszcze zastanie?

– Pójdzie pan ze mną.

– Naprawdę wyobraża pan sobie, że z panem pójdę?

– Rozkazuję panu.

– Zabawne. A niby w jaki sposób mnie pan do tego zmusi?

Traf chciał, że przechodziło akurat obok dwóch policjantów. Jérôme zaczął krzyżeć: „Policja! Policja!”. Usłyszawszy to, mężczyźni podbiegli, a za nimi liczna grupa gapiów z lotniska.

– Aresztujcie, panowie, tego człowieka! – zażądał An – gust, wskazując na siedzącego obok Texela.

– Jakiego człowieka? – spytał jeden z policjantów.

– Jego! – powtórzył Jérôme, mierzając palcem w Textora, który tylko się uśmiechał.

Przedstawiciele sił porządkowych popatrzyli po sobie zdezorientowani, po czym jęli się przyglądać Angustowi z miną mówiącą: „Kim jest ten pomyleniec?”.

– Pańskie dokumenty – poprosił jeden z nich.

– Słucham? – oburzył się Jérôme. – Ode mnie żądacie dokumentów? Powinniście ich zażądać od niego!

– Dokumenty! – powtórzył mężczyzna władczym tonem.

Upokorzony Angust podał im swój paszport. Przystudiowawszy go uważnie, gliniarze zwrócili mu go ze słowami:

– Tym razem w porządku. Ale więcej niech pan nie próbuje z nami takich żartów.

– A on, jego nie macie zamiaru wylegitymować? – nie dawał za wygraną Jérôme.

– Ma pan szczęście, że przed wejściem do samolotu nie musi pan dmuchać w alkomat.

Policjanci odeszli, pozostawiając Angusta w stanie zdumienia i wściekłości. Wszyscy patrzyli na niego jak na wariata. Holender się roześmiał.

– I co, teraz już rozumiesz? – spytał Texel.

– Jakim prawem mówi pan do mnie „ty”? Nie pasaliśmy razem świń.

Textor wybuchnął gromkim śmiechem. Wokół zaczęli gromadzić się ludzie, by popatrzeć i posłuchać. Tego Angustowi było już za wiele. Wstał i wrzasnął pod adresem gapiów:

– Dość tego! Niech no który jeszcze spojrzy, a rozkwaszę mu gębę!

Musiał być przekonujący, gdyż gapie oddalili się. Ci, którzy siedzieli obok, wstali i odeszli. Nikt nie odważył się podejść do nich bliżej.

– Brawo, Jérôme! Co za autorytet! Choć pasalem z tobą świnie, w takim stanie nigdy cię jeszcze nie widziałem.

– Zabraniam panu mnie tykać!

– Ejże, po tym wszystkim, cośmy razem przeżyli, ty też możesz do mnie mówić per ty.

– Ani mi się śni.

– Przecież znam cię od tak dawna.

Jérôme zerknął na zegarek.

– Niecałe dwie godziny.

– Znam cię od zawsze.

Angust wpatrzył się natarczywie w twarz Holendra.

– Textor Texel to przybrane nazwisko? Chodził pan ze mną do szkoły?

– A przypominasz sobie kolegę, który był do mnie podobny?

– Nie, ale to było dawno temu. Mógł się pan bardzo zmienić.

– A jak ci się zdaje, dlaczego policja mnie nie aresztowała?

– Nie wiem. Może jest pan jakimś VIP-em.

– To czemu ludzie patrzyli na ciebie jak na wariata?

– Z powodu zachowania się policjantów.

– Wyraźnie nic nie zrozumiałeś.

– Niby co miałem zrozumieć?

– Że nikt obok ciebie nie siedzi.

– Skoro uważa się pan za człowieka niewidzialnego, to jakim cudem ja pana widzę?

– Widzisz mnie tylko ty. Nawet ja sam siebie nie widzę.

– Niemniej nadal nie pojmuję, czemu te pańskie tandetne zabawy w sfinksa miałyby pana upoważniać do tykania mnie. Wypraszam to sobie.

– Żeby to człowiek nie mógł już sam do siebie zwracać się per ty.

– Co pan powiedział?

– Dobrze słyszałeś. Jestem tobą.

Jérôme popatrzył na Holendra jak na człowieka niespełna rozumu.

– Jestem tobą. Jestem tą częścią ciebie, której nie znasz, ale która ciebie zna aż nazbyt dobrze. Jestem tą częścią ciebie, której istnienia starasz się nie przyjmować do wiadomości.

– Błędem było zwracanie się do policji. Powinienem być raczej skontaktować się ze szpitalem dla schizofreników.

– To prawda, cierpisz na rozdwojenie jaźni. Od początku naszej rozmowy na rozmaite sposoby próbowałem ci dopomóc. Mówiąc o wewnętrznym wrogu, sugerowałem, że być może poza obrębem ciebie nie istnieję, że jestem tylko twoim wymysłem. Na co butnie odrzekłeś, że nie masz żadnego wewnętrznego wroga. Mój biedny Jérôme, masz wroga wewnętrznego, najuciążliwszego z możliwych: mnie.

– Nie jest pan mną. Nazywa się pan Textor Texel, jest pan Holendrem i nudziarzem jakich mało.

– Niby czemu owe wspaniałe przymioty miałyby wykluczać jednoczesne bycie tobą?

– Tożsamość, narodowość, życiorys, cechy fizyczne i umysłowe – wszystko to czyni z pana człowieka niebędącego mną.

– Nie jesteś zbyt wybredny, skoro wystarczą ci do określenia siebie tak skromne ingrediencje. To typowe dla ludzkiego umysłu: koncentrować się na detalach, po to, by nie musieć stawić czoła konkretom.

– A te opowieści o kocim żarciu, te pańskie ciągoty mistyczne – przecież to wszystko nie ma absolutnie nic wspólnego ze mną.

– To oczywiste. Musiałeś wymyślić mnie jako człowieka zupełnie odmiennego, przez co łatwiej ci było wmówić sobie, żeś to nie ty zamordował swoją żonę.

– Zamilcz pan!

– Przykro mi, ale nie będę już milczał. Milczałem już zbyt długo. Dodam też, że przez ostatnich dziesięć lat to milczenie stało się jeszcze trudniejsze do zniesienia.

– Nie zamierzam tego dłużej słuchać.

– Ale to przecież ty nakazujesz mi mówić. Owe szczelne przegrody, którymi obwarowałeś się w swojej głowie, już się nie sprawdzają; zaczynają puszczać. I tak możesz uważać się za szczęściarza, że miałeś prawo do tych dziesięciu lat niewinności. Dziś rano wstałeś i przygotowałeś się do wyjazdu do Barcelony. Spojrzałeś na kalendarz: dwudziesty czwarty marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. W twojej głowie nie zabrzmiał dzwonek ostrzegawczy, by ci przypomnieć, że to dziesiąta rocznica twojej zbrodni. Ale przede mną tego zataić nie mogłeś.

– Nie zgwałciłem mojej żony!

– To prawda. Miałeś tylko wielką ochotę ją zgwałcić, ujrzawszy ją po raz pierwszy na

commentarzu Montmartre przed dwudziestu laty. Marzyłeś o tym po nocach. Na początku naszej rozmowy wspomniałem, że zawsze zaspokajam moje zachcianki. Jestem tą częścią ciebie, która niczego sobie nie odmawia. Ofiarowałem ci to marzenie. Żadne prawo nie zabrania fantazjowania. Dopiero w jakiś czas potem, spotkawszy Isabelle na przyjęciu, odezwałeś się do niej po raz pierwszy.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Ponieważ jestem tobą, Jérôme. Bawiło cię, że tak kulturalnie konwersujesz z tą, którą w snach brałeś siłą. Spodobałeś się jej. Podobasz się kobietom, kiedy tylko udaje ci się zataić moje istnienie.

– To pan jest obłąkany. Pan zamordował moją żonę, a teraz próbuje mi wmówić, że to ja jestem mordercą, by uniewinnić się we własnych oczach.

– Czemu więc całymi godzinami przekonywałem o mojej winie?

– Bo jest pan stuknięty. Trudno doszukiwać się logiki w postępowaniu wariata.

– Nie wygaduj o mnie tyle złego; nie zapominaj, że jestem tobą.

– Skoro jest pan mną, to skąd ten dziwaczny pomysł, żeby się podawać za Holendra?

– Mówiłem już: musiałem stać się cudzoziemcem, aby podkreślić różnice między nami.

– Ale dlaczego Holendrem, a nie dajmy na to Patagończykiem lub Bantu?

– Ma się takich cudzoziemców, na jakich się zasługuje. Nie podołałbyś umysłowo byciu Patagończykiem czy Bantu.

– I skąd te jansenistyczne brednie, skoro religia jest mi całkowicie obca?

– Są po prostu dowodem tego, że jakaś część ciebie, ta, którą w sobie tłumisz, nie miałaby nic przeciwko mistyce.

– No nie, znów ten psychoanalityczny bełkot rodem z bazaru!

– Spójrz, jak cię złości nawet najmniejsza sugestia, że mógłbyś coś w sobie tłumić.

– Czasownik „tłumić” to kluczowe słowo dwudziestego wieku.

– Z którego wywodzi się także jedna z odmian dwudziestowiecznego mordercy: ty.

– Wyobraźmy sobie przez chwilę, że te pańskie elukubracje są prawdziwe: zbrodniarz taki byłby nędzny, patetyczny, groteskowy.

– Właśnie przed chwilą mówiłem: człowiek ma takich zbrodniarzy, na jakich zasługuje. Przykro mi, mój biedny Jérôme, ale nie było w tobie miejsca dla Kuby Rozpruwacza ani dla Landru. Było w tobie miejsce jedynie dla mnie.

– Nie ma we mnie żadnego miejsca dla pana!

– Nielatwo coś takiego przełknąć, prawda?

– Gdyby dać wiarę pańskim słowom – jestem doktorem Jekylllem, ucinającym sobie

właśnie pogawędkę z panem Hyde'em.

– Nie schlebiaj sobie. Daleko ci do doktora Jekylla, więc i potwór w tobie o wiele mniej godny jest podziwu niż to krwiożercze monstrum Hyde. Nie jesteś wielkim uczonym opętany obsesją, jesteś drobnym biznesmenem, jakich wielu; jedyną twoją zaletą była twoja żona. A od dziesięciu lat twoją jedyną cnotą było twoje wdowieństwo.

– Dlaczego pan zabił Isabelle?

– Zabawne. Przed chwilą nie chciałeś wierzyć, że jestem mordercą. Od kiedy jednak przrzuciłem piłeczkę winy na twoje boisko, bez oporów mi wierzysz, pytasz nawet, czemu ją zabiłem. Gotów byłbyś teraz na wszystko, byle przekonać cię o twojej niewinności.

– Niech mi pan odpowie: dlaczego pan zabił Isabelle?

– Nie udzielam odpowiedzi na niewłaściwie sformułowane pytania. Należało mnie zapytać: „Dlaczego zabiłem własną żonę?”.

– Takie pytanie nie wchodzi w rachubę.

– Więc wciąż nie wierzysz, że jestem tobą?

– I nigdy nie uwierzę.

– Przedziwny jest ten kult własnego ja. „Jestem sobą, tylko sobą, nikim innym jak sobą. Jestem sobą, więc nie krzesłem, na którym siadam, nie drzewem, na które patrzę. Zamknięty w granicach własnego ciała i umysłu odróżniam się wyraźnie od reszty ludzi. Jestem sobą, a więc nie tym osobnikiem, którego spotkałem, zwłaszcza gdy rzeczony osobnik okazuje się zabójcą mojej żony”. Szczególne credo.

– I to w dosłownym znaczeniu.

– Zastanawia mnie, jak ludzie twojego pokroju radzą sobie z myśleniem. Ten umysłowy strumień, płynący, gdzie mu się podoba, mogący wnikać w każdego, musi burzyć twój spokój. A przecież wypływa on właśnie z twojego małego ego. Wywołuje niepokój, zagraża twoim wewnętrznym zaporom. Na szczęście większość ludzi znalazła na to lekarstwo: po prostu nie myślą. Po co mieliby myśleć? Pozwalają, by myśleli ci, których zawodem, jak uważają, jest myślenie: filozofowie, poeci. Co jest o tyle bardziej praktyczne, że nie trzeba się przejmować ich konkluzjami. Tak więc wspaniały filozof sprzed trzech stuleci może twierdzić, że ego jest czymś godnym nienawiści, wielki poeta ubiegłego wieku oznajmić, że ja to mój bliźni; brzmi to ładnie, przydaje się w salonowych konwersacjach, a zarazem w niczym nie nadweręża naszej krzepiącej pewności, że ja to ja, ty to ty, i każdy siedzi dalej w swoim grajdole.

– Najlepszym dowodem, że nie jestem panem, jest pańska gadatliwość.

– Tak właśnie się kończy zbyt długie kneblowanie swego wewnętrznego wroga; kiedy się

wreszcie dorwie do głosu, nic nie może go powstrzymać.

– Najlepszym dowodem, że nie jestem panem, jest to, że kiedy przed chwilą zatkałem uszy, przestałem pana słyszeć.

– W pewnym sensie dokonałeś więcej; nie słyszałeś mnie przez dziesiątki lat, nawet bez zatykania uszu.

– Najlepszym dowodem, że nie jestem panem, jest to, że kompletnie nie znam się na jansenizmie ani tego typu historiach. Jest pan o wiele bardziej wykształcony.

– Nie, ja jestem tylko tą częścią ciebie, która niczego nie zapomina. To jedyna między nami różnica. Gdyby ludzie mieli lepszą pamięć, usłyszeliby siebie rozprawiających na tematy, o których, jak sądzili, nie mają zielonego pojęcia.

– Najlepszym dowodem, że nie jestem panem, jest to, że nie znoszę masła orzechowego.

Textor roześmiał się.

– Niezwykłe budujący dowód, staruszk!

– Niemniej to fakt – nie cierpię masła orzechowego. I co, zrzęła panu mina?

– Jedno ci powiem: ta sama część ciebie, która utrzymuje, że nie znosi masła orzechowego, ślini się na widok hot dogów z bulwaru Ménilmontant, choć nigdy w życiu nie odważy się ich sobie zafundować.

– Co pan wygaduje?

– Człowiek bywający na obiadkach służbowych, na których serwują mu turbota i inne specjały, woli nie przyjmować do wiadomości, że siedzi w nim nieokrzesany prostak marzący o objadaniu się świństwami, o których głośno wyraża się jak najgorzej, typu masło orzechowe czy hot dogi z bulwaru Ménilmontant. Często chodziłeś z żoną na cmentarz Père-Lachaise. Bardzo kochała widok pięknych drzew czerpiących pokarm z umarłych i groby młodych, kochanych kobiet. Do ciebie znacznie bardziej przemawiała woń parówek z naprzeciwka. Rzecz jasna prędzej byś się pod ziemię zapadł, niż do tego przyznał. Ale ja jestem tą częścią ciebie, która nie odmawia sobie niczego, na co ma naprawdę ochotę.

– Co za brednie!

– Niepotrzebnie się tego wypierasz. Przynajmniej raz ukrywasz w sobie coś sympatycznego.

– Niczego nie ukrywam.

– Kochałeś Isabelle?

– Nadal namiętnie ją kocham.

– I oddałbyś komu innemu przywilej zamordowania jej?

– To żaden przywilej.

– Ależ tak. Ten, kto ją zabił, był siłą rzeczy tym, kto kochał ją najbardziej.

– Wcale nie. Był tym, kto kochał ją niewłaściwie.

– Niewłaściwie, lecz najbardziej.

– Nikt nie kochał jej bardziej ode mnie.

– To właśnie powiedziałem.

– Niech no w końcu zgadnę – jest pan sadystycznym maniakiem zbierającym dane o każdym wdowcu, któremu zamordowano żonę. Wyżywa się pan w prześladowaniu nieszczęśnika, wmawiając mu, że to on jest sprawcą, jakby mu było jeszcze za mało cierpienia.

– Toż to byłaby amatorszczyzna, Jérôme. By tortura była skuteczna, należy ograniczyć się do jednej ofiary, jednego wybrańca.

– Więc przyznaje pan, że nie jest mną.

– Tego nie powiedziałem. Jestem tą częścią ciebie, która cię niszczy. Wszystko, co rośnie, zwiększa swoje właściwości autodestrukcji. Ja jestem taką właściwością.

– Jestem już panem zmęczony.

– To zatkaj uszy. Angust zrobił to.

– Widzisz? Przestało działać. Jérôme zatkał je mocniej.

– Nie bądź uparty. A tak przy okazji, zatykając uszy w ten sposób, długo nie wytrzymasz. Przecież ci mówiłem: po co trzymasz ręce w górze? Można by pomyśleć, że ktoś ci grozi rewolwerem. Uszy powinno się zatykać od dołu, z łokciami przy sobie; w takiej pozycji można wytrwać bardzo długo. Ach, gdybyś o tym wcześniej wiedział! Swoją drogą ciekawe, jak mogłeś nie wiedzieć, lecz teraz to już bez znaczenia.

Angust, zniechęcony, opuścił ręce.

– Sam więc widzisz, że ty to ja. Głos, który słyszysz, odzywa się w twojej głowie. Nie masz najmniejszych szans ucieczki przed moimi słowami.

– Żyłem tyle czasu i pana nie słyszałem. Znajdę sposób, by zmusić pana do milczenia.

– Nie znajdziesz. To nieodwracalne. Co robiłeś w piątek dwudziestego czwartego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku? Wiem, wiem, policja już cię o to pytała.

– Jej akurat było wolno.

– Mnie wolno wobec ciebie wszystko.

– Skoro pan wie, że policja mnie już o to pytała, zna pan również moją odpowiedź.

– Tak, byłeś w pracy. Doprawdy, gliny musiały mieć do ciebie sporo zaufania, skoro zadowolily się tak marnym alibi. Biedny zrozpaczony mąż, zdruzgotany i pełen

niedowierzania.

– Może mi pan wmówić absolutnie wszystko tylko nie to, że zabiłem Isabelle.

– W przedziwny sposób brak ci dumy. Masz do wyboru dwie role: jedną niewinnej ofiary, drugą mordercy, a ty wybierasz bycie nikim.

– Niczego nie wybieram. Trzymam się faktów.

– Fakty? To błaga! Czy ośmieliłbyś się, patrząc mi w oczy, utrzymywać, że pamiętasz, iż tamto popołudnie spędziłeś w biurze?

– Tak, pamiętam.

– Jest z tobą gorzej, niż myślałem.

– A co ja mam myśleć o panu? Zmienia pan wersje jak rękawiczki. Czym niby miała być ta długa rozmowa, którą rzekomo odbył pan z Isabelle?

– Odbyłeś z nią wiele innych fikcyjnych rozmów. Człowiek, który kocha, rozmawia w duchu z osobą ukochaną.

– A przeszłość, o której mi pan opowiadał, pana nieżyjący rodzice, mentalne morderstwo popełnione na koleżce, koci pokarm?

– Gotów byłbyś wymyślić nie wiadomo co, byle tylko móc sobie wmówić, że nie jestem tobą.

– To zbyt łatwe. Z takim argumentem znajdzie pan odpowiedź na największe nawet niedorzeczności.

– Nic dziwnego. Jestem diaboliczną częścią ciebie. A diabeł ma na wszystko odpowiedź.

– Lecz niekoniecznie przekonywającą. A przy okazji, ta podróż do Barcelony to naprawdę pańska sprawka?

– Ależ skąd! Ani spóźnienie samolotu. Nie dzwoniłem ani do twojego szefa, ani na lotnisko.

– Więc po co te kłamstwa?

– Żeby cię złamać. Gdybyś mnie wtedy zabił, oszczędziłbyś sobie wszystkich tych niemiłych odkryć.

– Czemu właśnie lotnisko?

– Spóźnienie samolotu. Przymusowe oczekiwanie, w dodatku nie wiadomo jak długo; chwila, kiedy byłeś nareszcie naprawdę dyspozycyjny. Ludzie tacy jak ty stają się wrażliwi jedynie w sytuacjach próżni i zaskoczenia. To, plus zbieżność dzisiejszej daty, dziesiątej rocznicy, co zaświtało ci w podświadomości dzisiejszego ranka; nareszcie dojrzałeś do tego, by przejrzeć na oczy. Obecnie w twoim umysłowym komputerze działa wirus. Jest już za późno. Dlatego mnie słyszysz, choć zatkałeś uszy.

- Więc niech mi pan powie, co się wtedy stało.
- Jak ci teraz spieszno!
- Skoro zabiłem Isabelle, chciałbym przynajmniej dowiedzieć się dlaczego.
- Bo ją kochałeś. Zabijamy to, co kochamy.
- Więc wróciłem do domu i tak po prostu, bez powodu zadźgałem żonę nożem?
- Jedynym powodem była miłość, która wszystko wiedzie na zatracenie.
- Piękne słowa, ale dla mnie kompletnie bezsensowne.

– Za to dla mnie, który jestem w tobie, mają sens. Nie ma się co oszukiwać; nawet najbardziej zakochany mężczyzna – zwłaszcza taki najbardziej zakochany – zapragnie któregoś dnia, choćby tylko przez chwilę, uśmiercić własną żonę. Tą chwilą jestem ja. Większości ludzi udaje się zakamufłować ów aspekt swej ukrytej jaźni tak, że nawet nie domyślają się jego istnienia. Twój przypadek jest jeszcze bardziej szczególny; nigdy nie spotkałeś mordercy, który skrywał się w tobie. Podobnie jak nigdy nie spotkałeś potajemnego amatora hot dogów ani człowieka, któremu marzą się nocne gwałty na cmentarzach. Dziś jednak, skutkiem mentalnego przypadku, stajesz z nim twarzą w twarz. Twoim pierwszym odruchem jest zanegować jego istnienie.

– Nie ma pan żadnego dowodu rzeczowego na poparcie swoich wymysłów. Czemu miałbym uwierzyć na słowo?

– Dowody rzeczowe są czymś tak głupim i wulgarnym, że miast utwierdzać w przekonaniu, raczej je podważają. Co natomiast powiesz na to? W piątek dwudziestego czwartego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego o godzinie siedemnastej wróciłeś niespodziewanie do domu. Isabelle nie była tym specjalnie zdziwiona, lecz zauważyła, że zachowujesz się dziwnie. Nie bez powodu; wtedy po raz pierwszy zetknęła się z Textorem Texelem. Był tobą i nie tobą. Ty podobałeś się kobietom, ja nie. Nie spodobałeś się tego dnia również Isabelle, choć nie wiedziała dlaczego. Nie odzywałeś się, tylko wpatrywałeś się w nią wzrokiem perwersyjnego obsesjonata, moim wzrokiem. Objąłeś ją; uwolniła się z twoich ramion z miną pełną odrazy. Spróbowałeś znowu. Wtedy oddaliła się, dając ci tym samym do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Usiadła na kanapie, unikając twojego wzroku. Nie mogłeś znieść tego, że nie chce mieć do czynienia z Textorem Texelem. Przyniosłeś z kuchni wielki nóż. Podeszedłeś do niej, kompletnie zaskoczony. Zadałeś jej kilka ciosów. Nie padło między wami ani jedno słowo.

Cisza.

- Nie pamiętam – powtarzał Jérôme z uporem.
- To nic. Ale ja pamiętam.

– Przed chwilą przedstawił mi pan zupełnie inną wersję tego wydarzenia. Kiedy usłyszę trzecią i następną?

– Przedstawiłem ci wersję Textora Texela, która nie odbiega od wersji Jérôme'a Angusta. Tego dnia wzbudziłeś w żonie odrazę, odgadła bowiem w tobie potwora napawającego się marzeniami o gwałcie. Twoja wersja jest wersją milczącą, moja opatruje legendą ów bezgłośny dialog, jaki Textor Texel odbył w myślach z Isabelle. W mojej wersji powoływałem się na Adama i Ewę – skądinąd dobrze się składa, gdyż w Księdze Rodzaju też występują dwie wersje ich historii. Zaraz po skończeniu opowieści o upadku narrator przytacza ją jeszcze raz, inaczej. Można by pomyśleć, że sprawia mu to przyjemność.

– Mnie nie sprawia.

– Twoja strata. Dokonawszy zbrodni, zabrałeś nóż i wróciłeś do biura, gdzie spokojnie wcieliłeś się z powrotem w Jérôme'a Angusta. Wszystko było jak należy. Byłeś szczęśliwy.

– Po raz ostatni w życiu.

– Koło godziny ósmej wieczorem wróciłeś do domu, jak każdy facet zadowolony, że już jutro weekend.

– Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, co się stało.

– I o czym wiedziałeś wcześniej, jako że było to twoje dzieło.

– Zacząłem krzyczeć ze zgrozy i rozpacz. Zjawili się sąsiedzi. Wezwali policję. Podczas przesłuchania byłem otępiały, ogłuszony. Nigdy nie znaleziono sprawcy.

– Przecież mówiłem, że popełniłeś zbrodnię doskonałą!

– Zbrodnię najohydniejszą z możliwych.

– Nie schlebiaj sobie. Zabawny z ciebie typ. Zwykły urzędnik, który dowiedziawszy się, że zabił własną żonę, uważa się za godnego wzgardy nędznika; istna mania wielkości. Nie zapominaj, że jesteś zwykłym amatorem.

– Jest pan mną czy nie – nienawidzę pana!

– Czyżbyś miał jeszcze jakieś wątpliwości? Weź komórkę i zadzwoń do swojej sekretarki.

– Po co?

– Rób, co mówię!

– Chcę wiedzieć!

– Skoro tak, to ja zadzwonię.

Angust wyjął komórkę i wybrał numer.

– Catherine? Mówi Jérôme. Nie przeszkadzam?

– Powiedz jej, żeby zajrzała pod papiery w lewej dolnej szufladzie twojego biurka.

– Czy mogłaby pani coś dla mnie zrobić? Proszę zajrzeć pod stertę papierów w lewej dolnej szufladzie mojego biurka. Zaczekam przy telefonie.

– Jak myślisz, co takiego znajdzie nasza droga Catherine?

– Nie mam pojęcia. Nie zaglądałem do tej szuflady od... Słucham, Catherine? Ach tak, dziękuję. Zapomniał mi się już jakiś czas temu. Przepraszam, że zawracam pani głowę. Do zobaczenia.

Angust przerwał połączenie. Był trupio blady.

– Tak, tak – uśmiechnął się Textor. – Nóż. Od dziesięciu lat spoczywa w czeluściach tej szuflady. Brawo, zachowałeś się bez zarzutu. Cienia emocji w głosie. Catherine niczego się nie domyśliła.

– To żaden dowód. To pan podłożył ten nóż!

– Tak, ja.

– A więc przyznaje się pan do winy!

– Przyznaję się do winy już od dawna.

– Pod nieobecność Catherine wślizgnął się pan do mojego biura...

– Przestań! Jestem tobą. Nie muszę się ukrywać, żeby wejść do twojego biura.

Angust chwycił się rękami za głowę.

– Skoro tak, to dlaczego nie pamiętam kompletnie nic z tego, o czym pan opowiada?

– Nie musisz pamiętać. O twojej zbrodni pamiętam ja.

– Czyżbym popełnił jeszcze jakieś?

– Mało ci?

– Chciałbym, żeby już niczego pan przede mną nie ukrywał.

– Nie obawiaj się. W całym swoim życiu kochałeś jedną tylko Isabelle. Więc tylko ją zabiłeś.

– Nie mogę w to uwierzyć. Kochałem Isabelle tak bardzo, że nawet pan nie potrafi sobie tego wyobrazić.

– Potrafię, bo darzyłem ją identyczną miłością. Skoro nie możesz mi uwierzyć, pamiętaj, że istnieje ostateczny i niezawodny sposób przekonania się o prawdziwości moich słów.

– Jaki?

– Nie wiesz?

– Nie.

– Mimo że już od dłuższego czasu cię o to proszę?

– Żeby pana zabić?

– Tak. Jeśli zabiwszy mnie, pozostaniesz przy życiu, będzie to dowód, że nie jesteś winny

zamordowania żony.

– Ale winny zamordowania pana.

– Na tym właśnie polega ryzyko.

– W takiej sytuacji ryzykuję własnym życiem.

– To zwykły pleonazm. Już samo życie jest ryzykiem. Tylko własnym życiem można ryzykować. Kto nie ryzykuje, ten nie żyje.

– Lecz w tym wypadku, jeśli zaryzykuję, umrę!

– Nie ryzykując, tym bardziej umrzesz.

– Chyba pan nie zrozumiał. Jeśli pana zabiję, a okaże się, że nie jest pan mną, spędzę resztę życia w więzieniu!

– Jeśli mnie nie zabijesz, spędzisz resztę życia w więzieniu tysiącokrotnie gorszym; w swoim umyśle, bezustannie torturując się pytaniem, czy to ty zamordowałeś swoją żonę.

– Będę przynajmniej wolny.

Textor gromko się roześmiał.

– Wolny? Ty i wolny? Uważasz, że jesteś wolny? Złamane życie, praca, i ty to nazywasz wolnością? Nic jeszcze nie wiesz; myślisz, że będziesz wolny, próbując całymi nocami wypłoszyć zbrodniarza, który w tobie siedzi? Na czym polegać będzie wtedy ta wolność?

– To jakiś koszmar – jęknął August, potrząsając głową.

– Tak, to koszmar, ale jest z niego wyjście. Tylko jedno. Na szczęście niezawodne.

– Kimkolwiek pan jest, wpędził mnie pan w najstraszliwszą sytuację, jaka istnieje.

– Sam się w nią wpędziłeś, staruszk.

– Niech pan przestanie odzywać się do mnie z tą nieznośną poufałością!

– Pan Jérôme August zanadto się ceni, by go tykać?

– Zrujnował mi pan życie. Jeszcze panu mało?

– Dziwna jest ta ludzka potrzeba oskarżania innych o zrujnowanie im życia, w sytuacji gdy im samym się to świetnie udaje, bez czyjejkolwiek pomocy!

– Zamilknij pan.

– Nie lubisz, kiedy mówi ci się prawdę, co? W głębi duszy doskonale wiesz, że mam rację. Wiesz, że to ty zabiłeś swoją żonę. Czujesz to.

– Niczego nie czuję!

– Nie znajdowałbyś się w takim stanie, gdybyś miał choć cień wątpliwości.

Texel zaśmiał się.

– To pana śmieszy?

– Powinieneś się teraz zobaczyć. Twoje cierpienie jest żałosne.

Angust nie był w stanie dłużej pohamować nienawiści. Od podbrzusza po paznokcie i zęby wytrysnął w nim gejzer pełnej furii energii. Zerwał się i schwycił swego wroga za kłapy marynarki.

- Jeszcze się pan śmieje?
- Pękam z radości!
- Nie boi się pan śmierci?
- A ty, Jérôme?
- Ja się już niczego nie boję!
- Czas najwyższy.

Angust pchnął Texela na najbliższą ścianę. Nie zważał na gapiów. Było w nim miejsce jedynie na nienawiść.

- Jeszcze się pan śmieje?
- Jeszcze zwracasz się do mnie per pan?
- Zdechnij!
- Nareszcie! – westchnął w ekstazie Texel.

Schwyciwszy swego wroga za głowę, Angust zaczął nią walić o mur. Roztrzaskując jego czaszkę o ścianę, za każdym uderzeniem krzyczał: „Wolny! Wolny! Wolny!”.

Powtarzał to wciąż i wciąż, nie posiadając się z radości.

Kiedy czarna skrzynka Texela pękła, Jérôme poczuł głęboką ulgę.

Wypuścił ciało z rąk i odszedł.

Dwudziestego czwartego marca 1999 roku pasażerowie oczekujący na samolot do Barcelony byli świadkami niesamowitej sceny. Kiedy odlot samolotu spóźnił się z niewyjaśnionych przyczyn już trzecią godzinę, jeden z pasażerów nagle zerwał się i zaczął walić głową o ścianę hallu. Przepęłniała go gwałtowność tak niebywała, że nikt nie odważył się zainterweniować. Robił to tak długo, dopóki nie padł martwy.

Świadkowie owego niepojętego samobójstwa co do jednego są zgodni. Za każdym uderzeniem głową o ścianę mężczyzna wydawał z siebie okrzyk. Brzmiał on: – Wolny! Wolny! Wolny!